

# KUŹNICA

Rok V Łódź, 6 marca 1949 r. Nr 9 (182)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

MIECZYŚLAW JASTRUN

## SPÓR O POEZJĘ

**B**YŁOBY rzeczą ciekawą zbadać jak dużą rolę odegrały w kształtowaniu się różnych krótkotrwałych mód i upodobań literackich mechaniczne przejęte wzory, a czasem nawet zwykłe pomyłki i nieporozumienia.

To, co było odkryciem, gdy po raz pierwszy zostało powiedziane, u naśladowców zmieniało się już tylko w liczman. Ież to nieporozumień i niepotrzebnych odbitek wywołały niektóre eschatologiczne i skatologiczne wiersze Rimbauda. Przez jakiś czas panowała w liryce polskiej okresu dwudziestolecia moda na dekadencje nastroje Jesienina z jego mistyczną krową. Cień nawet po tych wierszach nie został. Pierwsi futuryści chcieli „szczać we wszystkich kolorach tęczy”, ale prawdziwa tęcza poezji padła na te tylko utwory, które zawierały jakąś rzeczywistą prawdę i namietność.

Oczywiście — wydawało się tylko, że te nieporozumienia lub pomyłki dzieją się wyłącznie na powierzchni; ich ukryte źródła toczyły się głębiej, wynikały z ówczesnych stosunków, z położenia historycznego. Jeżeli pewien krytyk zachwycał się jakimś dziwactwem w wierszu jednego z poetów, dziwactwem, którego twórcą był błąd drukarski, to — upodobanie krytyka do tego typu oryginalności stało niewątpliwie w ścisłym związku z ówczesną

nej poezji dwudziestolecia, jak gdyby nasza najbardziej twórcza i postępową tradycja literacka nie była przeniknięta „myslą”; pojmuje się przy tym „uczucie” jako siłę odrębną i samoistną, wpadając w anachroniczne błędy mistyki romantycznej.



Włodzimierz Małajkowski

I tak w numerze „Odrodzenia” poświęconym kongresowi Zjednoczenia Polskiej Klasy Robotniczej czytaliśmy ze zdziwieniem wyznaczenie jednego z młodszych literatów:

„Nasza publicystyka literacka z upodobaniem posługuje się przymiotnikami „intelektualny”, „intelektualna proza, intelektualna poezja. Nadużywany ten przymiotnik... oznacza jedynie chłodny jak kalkulacja kupca stosunek do świata, po straganiarsku rozważną aprobatę rewolucji”. Wynikałoby z tych i podobnych im wywodów, że typ rewolucjonisty jest typem antyintelektualnym (na przykład: Waryński), a straganiarze i kupcy odznaczają się bystrym intelektem. Oczywiście, autorowi tej wypowiedzi nie o to chodziło, chciał jedynie zwrócić uwagę na rolę żywiołowości w ruchu robotniczym, brak jednak dostatecznego przygotowania intelektualnego nie pozwolił mu wypowiedzieć tej myśli. Ale chodzi o rzecz ważniejszą. Czy nasza publicystyka literacka jest rzeczywiście

cie tak „zintelektualizowana”, czy proza i poezja ostatniego okresu aż duszą się od natłoku myśli? Czy należy zachęcać sepa z wiersza Słowackiego, aby w dalszym ciągu wyjadał mózg Prometeuszowi polskiemu?

Myślę, że z tej strony nie grozi nam niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo prawdziwe grozi rozwojowi poezji polskiej ze strony uparcie tworzonych mitów różnego rodzaju, kalibru i pochodzenia.

Pierwszy, najpospolitszy i najwulgarniejszy, stworzony dla celów nic nie mających wspólnego z troską o rozwój naszej poezji, to mit rozbijający ją na poezję starszych i młodszych poetów. Takiego podziału nie ma, jeśli pominąć oczywiste dla każdego i zupełnie naturalne różnice dojrzałości itp. Przeciwnie, poeci młodego pokolenia przejęli idee postępowe i rewolucyjne od swoich poprzedników. To bardzo dobrze, że się tak stało. Nie ma jednak powodu tworzyć śmiesznych mitów o walce „klasyków z romantykami” na wspólnej barykadzie.

Nie mam zamiaru wdawać się tu w polemikę z autorami, którzy brali udział w dyskusji o poezji młodej w „Odrodzeniu”. Cenię niektóre przejawy w poezji najnowszej, cieszę się z postępu, jaki poezja ta zrobiła od chwili swych narodzin, ale z prawdziwą troską czytam teoretyczne wypowiedzi niejednego autora. Są w



Pablo Neruda

tych wypowiedziach sady nieumotywowane niczym, dużo pretensji do świata, który nie poznał się na tym czy innym geniuszu. Jest wreszcie wiele nieprzyzwoitej demagogii.

„Młoda poezja, ale czyja?” zapytuje w czasopiśmie „Wies” (nr 4) Jerzy Cios — i analizując zdanie jednego z młodszych literatów: „epigonizm nie wrasta się w socjalizm”, stwierdza: „Pięknie, ale i nie każdym nowatorstwem wrasta się w socjalizm. Trzeba więc w końcu ustalić, jaki typ poezji służy klasie robotniczej w jej dzisiejszej walce... zamiast przedyskutowania istotnego problemu, jaki staje przed całą literaturą, a myślę tu o związaniu się z ruchem proletariatu, otrzymujemy wezwanie do „dramatyzacji” i „dynamizmu”, którego ma rzekomo wymagać bieżąca epoka. Jest tu w znacznej mierze nieświadomienie sobie właściwych zadań twórczości poetyckiej, a co za tym idzie, kontynuacja polemiki w języku minionego dwudziestolecia. W nim bowiem można było wysuwać programy nie rozpatrując



Paul Eluard

modą na tajemniczość, niejasność lub jawny bezsens — uboczne produkty epoki imperialistycznej. Jest to ów „duch czasu”, o którym Goethe powiedział, że w istocie jest „duchem tych panów”.

Dzisiaj początkujący poeta, nie obeznany z poezją francuską, znający ją z nielicznych przekładów od razu próbuje naśladować Eluarda, trudną sztukę tego poety wymieniając na drobne. Nie lepiej przedstawia się sprawa z naśladowaniem Majakowskiego. Mechaniczne naśladowanie tego wielkiego poety rewolucji nie może dać dobrych wyników. I oto pomysły sprawozdawca „Dziennika Literackiego” umyślił, aby z dwóch czy trzech poetów polskich ulepić nowego Majakowskiego. Zapomniał tylko, że ten nowotwór byłby bez głowy.

Ale intelekt wciąż jeszcze jest w pogardzie u niektórych naszych literatów, jak gdyby nie dość nam było antyintelektual-

„Genialność Chopina jest wymownym świadectwem, że twórczość naprawdę wielka wyrasta z tego, co ludowe i dzięki temu staje się dorobkiem ogólnoludzkim”

Bolesław Bierut

### TREŚĆ NUMERU:

- MIECZYŚLAW JASTRUN —  
KILKA SŁÓW O POEZJI
- ALEKSANDER JACKIEWICZ —  
MAŁY REALIZM
- ALEKSANDER BACHRACH —  
SPRAWY WYDAWNICZE A PLAN  
SZESZCIOLETNI
- JANINA PRAGER —  
DWUDZIEŚCIOLECIE  
TWÓRCZOŚCI SZOŁOCHOWA
- WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI —  
WIERSZE
- STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —  
POEZJA ARIANNA
- STANISŁAW DYGAT —  
ZAGADNIENIE MORALNE
- BERTOLD KUBA —  
ZAWRZYJCIE POKÓJ
- JULES LEVERRIER —  
NARODZINY ARMII NARODOWEJ  
(1789 — 1794)
- ADAM WAŻYK —  
Z TEATRÓW ŁÓDZKICH
- LEON BUKOWIECKI —  
KRONIKA FILMOWA
- IGNACY WITZ —  
BEZDOMNA PLASTYKA
- PRZEGLĄD PRASY
- NOTY

funkcji społecznej, ich roli w rozgrywającej się współcześnie walce klas”.

Wydaje się, że stanowisko Jerzego Ciosa mogłoby posłużyć za punkt wyjścia do dyskusji. Nikt jednak jej nie podjął. „Wies” natomiast w następnym już numerze przyniosła interesujący artykuł Józefa Piątka pt. „Na drodze do poezji politycznej”, w którym autor występując ostro przeciw próbom poematów w poezji najmłodszych pisze m. in.:

„I oto w roku 1948 nagle jak z rękawa zaczynają się sypać poematy. Jak wylumaczyć taki bujny urodzaj? Sądzę, że tzw. hasło uspołecznienia poezji, upolitycznienia jej wniosło nazbyt wiele treści, które nie mogły się zmieścić w ramach konstrukcyjnych zwykłego wiersza. Tylko, że te nowe wartości okazały się nazbyt dynamiczne. Oszczędność wyrazu poetyckiego zastąpiono słowolejstwem, gadulstwem. Słaby, trzymany w ryzach surowych poetyckich rygorów wiersz, zaczął się rozrastać i pęcznić jak gąbka nasiąkła wodą. To jedno. Drugą przyczyną może być nazbyt chaotyczne szukanie wzorów poetyckich. Jeśli się przyjrzeć bliżej tym poematom, dostrzeżemy przedziwną mieszaninę wpływów. Od Niedogonowa, Kirsanowa, Majakowskiego, rozpuszczonych w post-ekspresjonistycznym sosie, z Jesieninowską przyprawką, aż do bezpośrednich wpływów poezji francuskiej, no i rzecz jasna łacińsko-amerykańskiej. W ten sposób poetykę Pablo Nerudy, wmontowaną w technikę poetycką Eluarda, połączono z retoryką Majakowskiego, z charakterystycznym dla poezji rosyjskiej ostatnich czasów ludowym gawędziarskim tonem...”



Nawrót do Majakowskiego jest zrozumiałe i mógłby być bezspornie twórczy, gdyby był dialektyczny a nie mechaniczny... Majakowski jest zjawiskiem niepowtarzalnym. Wyrósł w określonej epoce i wielkość jego między innymi polega na jego oryginalności, na tym, że jest jedyny. Można się na nim uczyć, należy go analizować, ażeby zrozumieć, na ile odmienną drogą kroczyć powinien w naszych czasach poeta, który chce być naprawdę politycznym pisarzem.

Nie wdając się w pełną ocenę tych sformułowań, chciałbym jedynie zasymulizować, że polska myśl krytyczna zaczyna się bronić przed nazbyt już jaskrawymi nieporozumieniami w dziedzinie poetyki.

Nieporozumienia te i błędy mogą wprowadzić pewien chaos, mogą niekorzystnie odbić się na twórczości młodzieży poetyckiej, której poszukiwania, nawet jeśli nie dają jeszcze dobrych rezultatów, musimy uznać za konieczne i wartościowe dla dalszego rozwoju naszej poezji.

Do najpoważniejszych błędów należy błąd wynikający z przeświadczenia, że sztuka socjalistyczna musi odrzucić całą dotychczasową tradycję artystyczną i literacką, jako wsteczną i nieprzydatną. Temu niesocjalistycznemu przekonaniu dał najbardziej charakterystyczny wyraz młody literat, poeta, który w swoich „Chronologiach poetyckich” („Odrodzenie” nr 2) bardzo swoiście pojmuje stosunek marksizmu do tradycji, lekką ręką przekreśla cały dorobek kulturalny przeszłości, i sądzi, że to jest właśnie socjalistyczna droga. Nie trzeba chyba przypominać, że podobne

tendencje przejawiały się niegdyś w grupie „Lefowców” w ZSRR i że rozprawiono się z nimi już dawno.

Ow wspomniany wyżej literat zarzuca starszym pisarzom lewicowym, że popełniają „błąd polegający na tym, że stare i jedynie w bardzo nikłych fragmentach użyteczne konwencje literackie ciągną za włosy na nową platformę klasową, na której nie ma dla nich miejsca”...

Te tendencje zupełnego odcięcia się od najpostępowej nawet tradycji literackiej przeszłości mają obok wielu innych błędów — o których później — również tę wadę, że tkwią po uszy we wtórnych objawach poetyki dekadencejnego na ogół okresu poezji. Nurtują one od dawna naszą literaturę, i jeśli w początkach naszego ruchu futurystycznego miały wyraz buntu przeciw rzeczywistości świata kapitalistycznego, wyraz zresztą słaby i dwuznaczny, teraz zdradzają treść zupełnie inną. Niektórzy z młodych krytyków, napewno nieświadomie, chcą zgalwanizować te bardzo „dynamiczne” tendencje sprzed lat trzydziestu u nas (a czterdziestu w krajach zachodnich).

Nasi spóźnieni kontynuatorzy tych hasł niedobrze przetrawili kierunki awangardowe, nie umieją odróżnić tego, co służyło postępowi, od tego, co szło na rękę imperializmowi ginącego świata. Niechby poczytali trochę. Choćby to, co o poezji francuskiej z taką bystrością sądu pisze Adam Ważyk. Tymczasem stwarza się ad hoc (doraźnie, w specjalnym celu) jakiś bardzo pośledni mit klasycyzmu o sztywnym karku i przeciwstawia się mu nibyto

wiosenną burzę, której pioruny dawno zostały uziemiene.

Tak więc pod płaszczykiem, zabarwionym czerwienią, chowa się biedny mały formalizm. Jeśli jeden z najwybitniejszych krytyków młodego pokolenia, mający zresztą najlepszą wolę i nieprzeciętne odczucie poezji, za najważniejszą cechę „nowoczesności” uznaje wolną frazę wiersza, to znaczy, że zwężone do zakresu techniki pojmowanie spraw poezji nie minęło jeszcze.

Dla krytyków tego typu nie było wojny, nie było rewolucji. Stoją bezradni wobec przemian w prawdziwej nowej poezji.

Mimo różnic, jakie dzielą ich od naszych „Lefowców”, na gruncie formalistycznego pojmowania nowoczesności łatwo im się pogodzić.

Tymczasem mówiąc o nowatorstwie, musimy powtórzyć: „Ale jakie?” Bez nowatorstwa, bez eksperymentu nie ma żywej literatury. Ale bez jakiego eksperymentu, bez jakiego nowatorstwa?

Lenin powiedział kiedyś: „Czy mamy odwracać się od prawdziwego piękna tylko dlatego, że jest to piękno stare i uwielbiać nowe tylko dlatego, że jest nowe. Niedorzeczność!”

Niedorzecznością jest, gdy nowość staje się celem samym w sobie, jeśli nie wynika z celu — z treści dzieła. Pod tym względem obciążona jest poezja nowszych czasów sporym bagażem błędów i nieporozumień. Stanowisko formistów jest nie do utrzymania. Jest ono w gruncie rzeczy nietworzące. Niepełność poezji w latach poprzedzających drugą wojnę jest dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek widoczna. To,

co w oczach przyszłości będzie różniło poezję naszych dni od poezji ubiegłego okresu, nie będzie polegało na tym czy innym sposobie technicznym, granica będzie przebiegała między treściami. Nowa postępowo, rewolucyjna poezja, w przeciwieństwie do poezji posymbolicznej, nie stroni od tak zwanych wielkich tematów, nie boi się problematyki, nie unika obszarów, które kiedyś wydarła jej proza powieściowa i publicystyczna.

Majakowski pierwszy dał przykład ogromnej miary. Dzisiaj poematy Pablo Nerudy, nawiązujące do Whitmana, kłębzące się od spraw współczesności politycznej, wiersze ideologiczne Eluarda — ukazują tę wielką przemianę w najlepszych spełnieniach.

Poezja polska wydaje się podążać w tym jednym dziś słusznym, historycznie umotywowanym kierunku. To dobrze, że poeci nasi, również młodzi, piszą wiersze polityczne, okolicznościowe. To dobrze, że do wierszy wdziera się szeroka fala prozy potocznej.

Jeśli wyniki nie są jeszcze dobre, wolno mieć nadzieję, że będą w przyszłości lepsze. Nie należy tylko obstawać uparczywie przy starych i nowych pomyłkach i nieporozumieniach. Na niektóre z nich zwrócić uwagę Zygmunta Mikulskiego w „Odrodzeniu” (nr 6), słusznie określając nowość jako funkcję — nie jako postulat.

Droga do poezji humanistycznej, ludowej w najszerszym sensie, jest zarazem drogą do syntezy. Spory o szczegóły formalne, o taki czy inny kształt wiersza wydają mi się w tej chwili mniej istotne.

Droga ta, jak każda droga sztuki, nie jest wolna od niebezpieczeństw. Nie jest to tylko mój pogląd.

W czasie pobytu w Budapeszcie rozmawiałem z Lukacsem o poezji. Jego bliższą od sformułowanych na gorąco zdań retoryka filozoficzna nie ominęła w rozmowie tych spraw, które pasjonują poetów i miłośników poezji.

Lukaś widzi niebezpieczeństwo nie tylko w uleganiu literaturze okresu dekadencji — to rzecz zrozumiała — ale również w nadmiernej deklaracyjności literatury postępu i rewolucji. Powołuje się na klasyków — od Szekspira po Petőfię, Mickiewicza i Puszkina, gdyż widzi w nich najpełniejsze wcielenie zasady humanistycznej w dzieło poezji.

Sądzę, że są to sprawy nietrudne do zrozumienia dla każdego, kto szuka w poezji czegoś więcej niż zabawy lub dydaktyki.

Jeżeli wydaliliśmy bezwzględnie walkę jałowemu estetyzmowi, nie powinniśmy dopuścić do ulegania literaturze jałowości zajęta miejsce żywej poezji.

W sztuce nie dość jest deklamować. Niech idea przenika utwór, a nie ogranicza się do bicia w bębny na peryferiach utworu.

Nie sądzę, by najbardziej godną metaforą w utworze poety-lewicowca było dewocyjne całowanie sztandarów i innych symbolów władzy ludowej. Komu droga jest idea, ten nie wymawia jej imienia nadaremno. Jeśli wymawia, to z taką potęgą przekonania jak Neruda, gdy pisał swoją „Nową pieśń miłości do Stalingradu”.

Są wiersze podobne do martwych, wypchniętych ptaków, i nic nie pomogą im powabne pióra.

Tylko prawdziwe ukazanie spraw ludzkich, tylko niewybłagana odwaga spojrzenia liczy się w poezji.

Thomas Mann w swojej powieści o Adrianie Leverkueinie tak charakterystycznie określa okres imperialistyczny:

„Sąsiedztwo estetyzmu i barbarzyństwa, estetyzm jako przygotowywany drogę do barbarzyństwa w duszy artysty”.

Oczywiście Faustus dzisiejszy, przedstawiciel prądów ekstremistycznych Zachodu, nie występuje z otwartą przybitką, sądzi nawet, że tworzy literaturę humanistyczną, gdy w istocie toruje drogę zagładzie.

Gra idzie o przyszłość ludzkości. Cóż warta byłaby nasza poezja gdyby w tej walce nie wzięła udziału?

Rok bieżący jest rokiem wielkich rocznic. Dzieki temu zapraszając raz po raz wiek dziewiętnasty do naszych stołów, możemy tym łatwiej zrobić porachunek z przeszłością. Wszystko, co nasza epoka rozwinęła, tkwiło już w tamtym wieku, wszystko zarówno dobre jak i złe; można powiedzieć, że okres nasz wyciągnął tylko ostateczne wnioski z przygotowań swego poprzednika.

Wypływają stąd również dla poezji, w odczynie Mickiewicza i Słowackiego, niewątpliwe wskazania i zapalają się znaki świetne dla poetów

ALEKSANDER JACKIEWICZ

## MAŁY REALIZM

Książka tygodnia

MIANEM małego realizmu ochrzczono po wojnie pewien bardzo istotny nurt literatury dwudziestolecia rozciągający się między prozą reportażową

a powieścią społeczną o wyższych aspiracjach artystycznych. Znamionowało go zainteresowanie tzw. szarym człowiekiem, życiem codziennym przede wszystkim drobniomieszczaństwa i proletariatu. Literatura ta nie silła się na wielkie syntezę socjalne ani historyczne. Nie ważyła się na zamknięcie w swych ramach ludzkiego losu, nie tragizowała. Oddawała życie konkretne w szczegółach, w płynności, w pozornej przypadkowości. Nie miała w sobie dynamiki wielkiego realizmu, który dąży do wyprzedzenia epoki odnajdując w niej zaledwie przyszłych losów świata. Literatura małego realizmu szła razem z życiem już uformowanym, stwierdzała jego pozytywne i negatywne fakty — unikając raczej wyciągania wniosków.

Ponieważ ówczesny byt warstw niższych nie dawał materiału do twórczości optymistycznej, mały realizm stał się literaturą smutku i zwątpienia. Jak zaznaczyliśmy jednak, nie tragizował, po prostu nie miał dramatycznego charakteru. Jego pesymizm był upłyniony i chociaż jednoznaczny, nieodwracalny, nie był też buntowniczy. W tym nurcie żyły tradycje europejskiej literatury popularnej z wszystkimi jej skłonnościami do niekomplikowania spraw, właśnie do jednoznaczności. Nie walcząc na ogół o takie czy inne prawdy, była jednak to literatura w swej jednoznaczności tendencyjna.

Mały realizm dwudziestolecia reprezentowali u nas H. Boguszewska i J. Kornacki oraz Pola Gojawiczyńska. Pozostawmy przy tych pisarzach. Niech felietoniście będzie wolno upraszczać. Pierwsi wymienieni autorzy uprawiali rodzaj literackiego reportażu („Jadą wozy z cegła”, „Wisła”), Pola Gojawiczyńska w swej twórczości dążyła wprawdzie do syntezy artystycznej i ideowej („Dziewczeta z Nowolipki” i zwłaszcza „Rajska jabłonia”), lecz syntezy nie dała. Niech to nie brzmi jak zarzut. Po prostu pisarka w swych pesymistycznych panoramach malowała określony wycinek życia. Jej ludzom było źle, dojrzywały wśród nich wprawdzie elementy przyszłych przemian, lecz ze stanowiska małego realizmu były one jeszcze mało widoczne. Po wojnie twórczość Gojawiczyńskiej („Stolica”) nabrała nowej barwy, zrodził ją odmienny charakter rzeczywistości.

Krytyka zrazu przeszła do porządku dziennego nad powojennym wydaniem małego realizmu i dopiero ostatnio pozwolono sobie spojrzeć raczej przyjaźnie na ten nurt literatury powojennej. Okazało się, że mały realizm może być także dobrą szkołą przygotowawczą dla przyszłych realistów przez duże R, że tworzy pożywną glebę albo może epiej: pierwsze sito twórcze w stosunku do życia rzeczywistego, że wreszcie mały realizm, który, wraz ze zmianą charakteru bytu społecznego,

zmienia pozytywnie swój własny charakter, może się stać dobrą „początkową szkołą literacką dla nowego czytelnika.

Myśli te, nasunęły się felietoniście w związku z lekturą powieści Heleny Boguszewskiej „Żelazna kurtyna” (\*).

W książce tej poznajemy autorkę „Wistę” z całym jej przedwojennym bagażem literackim. Znow jest codzienność, wnikliwe widzenie małych spraw, szarzy typowi ludzie, ich monotonna niedza. Lecz opisane fakty formują linię wznoszenia się nad przedstawionych ludzi, a więc też społecznego bytu.

Boguszewska opisuje życie mieszczańskiej rodziny w pierwszych latach po wojnie. Rzecz dzieje się na Żoliborzu w zrujnowanym domu. Boguszewska, umiejętnie jak zwykle, wprowadza nas w atmosferę domu. Po przeczytaniu kilku rozdziałów już znamy dobrze miejsce, w którym się akcja rozgrywa. Pisarka małego realizmu daje zwykle bardzo drobniagowy obraz bardzo określonego miejsca, a więc mieszkania, domu, rzadziej całej dzielnicy, w zbliżeniu ukazując nam niewielką grupę ludzi oraz sprawy najbliższe z nimi związane. Wielki świat, społeczeństwo, wielkie problemy są zatarte w tle utworu, ujawniają się w opisywanym środowisku rozłożone na czynniki wolno płynącego czasu. Osoby występujące w utworze reprezentują tylko siebie, pisarz kładzie na to specjalny nacisk — lecz są one typowe i w ten sposób połączone ze światem, i w ten sposób nawet reprezentacyjne.

Celina to przedwojenna, niezyciowa inteligentka, trochę romantyk, bardzo niezadorna, pesymistka, i marzycielka z braku określonych zajęć i zainteresowań. Ciocia Bolcia, typowa ostoja rodziny, pełna poświęcenia dla innych, pracowita, schorowana, anielsko dobra, lecz wiecznie narzekająca na swój los. Młodzież (dzieci Celiny) pozostaje najdłużej tylko typową młodzieżą, hałaśliwą, wesołą, psotną. Jest jeszcze Waleria Jaśtak, najlepsza chyba postać w całej powieści, osoba energiczna, kochliwa, nie umiejąca usiedzieć w jednym miejscu, nie znająca systematycznej pracy; robi doskonałe interesy handlowe i jest stale wyzyskiwana przez darzonych jej uczuciem mężczyzn. Kocha ich wszystkich po kolei z niesłabnącym ogniem i dobrocią. Pomimo ciągłych zawodów i wielkich bankructw, jest stale na powierzchni życia. Ale to postać raczej drugorzędna w utworze, jej los jest od początku do końca taki sam. Boguszewska interesuje przede wszystkim opisaną rodziną i jej dzieje.

Otóż zaczyna się od tego, że Bolcia produkuje materiały wełniane na wciąg psującym się warsztacie tkackim. Utrzymuje całą rodzinę. Celina gospodaruje. Aldona zajmuje jakąś bardzo nierentowną posesję, Henryk chodzi do szkoły. Wszyscy czekają na powrót z Londynu ojca rodziny — in-

\* Helena Boguszewska: „Żelazna kurtyna”. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza 1949.

żyniera Karola. Lecz Karol nie wraca. W swoich tajemniczych, beztreściowych listach pisze o „sprawach świata”, o swoim sentymencie do żony i dzieci, w jakim „biurze informacyjnym” pracuje Aldona, „kogoż to biuro informuje i o czym?” Jest podejrzliwy. Pyta, dlaczego Bolci list został napisany atramentem, a Celiny ołówkiem, „zupełnie jakby z innego miejsca”. Innym znow razem prosi Celinę, żeby sprzedała jego przedwojenne rzeczy w rocznicę ślubu i kupiła sobie bukiet tuberoz. Rzeczy jego tymczasem dawno sprzedano już, a pieniądze starcza za ledwie na wyżywienie rodziny. Karol staje się coraz odleglejszy.

A życie toczy się swoim biegiem. Aldona rzuca pracę zarobkową i rozpoczyna studia, Celina, żyjąca dotąd miłością do Karola, obejmuje posadę po Aldonie. Zaczyna pracować społecznie. Zmienia się zupełnie, staje się energiczna, nieźle zarabia, zaczyna grać pozytywną rolę. Przy pomocy Walerii Jaśtak i małego Henryka, pod kierownictwem ciotki Bolci — zostaje zorganizowana spółdzielnia tkacka. Jednocześnie dotychczas mieszkanie rozszerza się dzięki energii kobiet na dalsze dwie odremontowane izby. Przybywają dwa nowe warsztaty tkackie.

Tak wygląda powojenny start opisywanej rodziny. A Karol wciąż pisze tajemnicze, ogólnikowe listy. Został ze swoim Londynem, z „losami świata” i tuberozami w jakiejś dalekiej przeszłości.

Książka nosi tytuł „Żelazna kurtyna”. Czytelnik, kończąc ostatni jej rozdział, w którym nikt z rodziny, zajęty swoją pracą, nie ma czasu ani ochoty na doczytanie listu Karola stwierdza, że nie rodzinę, lecz właśnie Karola odgradza od prawdziwego, pulsującego twórczego życia — żelazna kurtyna.

Powieść została napisana dla radia. Stąd pewna fragmentaryczność. Lecz to właśnie dodaje jej plastyki i pulsu. Zupełnie pozabawiona statycznych opisów, w ciągłym zdaniu się, w ciągłym rytmie, wciągają nas „Żelazna kurtyna” w swoją atmosferę. Język pisarski jest zwykłym językiem, jakim posługujemy się na co dzień. Pozabawiony zupełnie literackości, przylega doskonale do zwykłych ludzi i ich spraw. Ten zespół walorów stwarza fikcję prawdziwości, zupełnej równoległości utworu w stosunku do świata rzeczywistego.

Tu leży społeczne znaczenie książki, jej sprawdzalność w własnym doświadczeniu odbiorcy. Nie omijając, ale też nie pogłębiając trudnych stron powojennego losu społeczeństwa polskiego, powieść sumuje fakty dobre i złe. Ogłasza wynik pozytyw-ny.

Buduje się nowe życie. Niech czytelnik przejdzie się po Warszawie, niech zajrzy do odremontowanych mieszkań, niech sobie obejrzy spółdzielnię.

Tych słów nie ma w książce Boguszewskiej. Dopisał je krvtvk.

Aleksander Jackiewicz

Mieczysław Jastrun



ALEKSANDER BACHRACH

## Sprawy wydawnicze a plan sześciolenny

**M**OWIĄC na Kongresie Zjednoczeniowym o warunkach realizacji sześciolennego planu budowania fundamentów socjalizmu, min. Minc dłuższą chwilę zatrzymał się nad zagadnieniem ludowej inteligencji pracującej. „Każda klasa przodująca — mówił min. Minc — miała swoją własną inteligencję. To też i polska klasa robotnicza i polskie masy ludowe stworzą swoją własną inteligencję”.

Z kogoż, z jakich rezerw narodowych ma się formować ta nowa inteligencja ludowa?

„Nie możemy ograniczyć się — mówił dalej min. Minc — do formowania nowej inteligencji tylko poprzez kształcenie młodzieży... W ciągu czterech lat po wyzwoleniu wyrosła u nas znaczna warstwa klasy robotniczej, która ma wysokie dane na przekształcenie się w inteligencję ludową. Są to robotnicy wysunięci na stanowiska dyrektorów, wicedyrektorów, kierowników działów, są to najbardziej doświadczeni, uświadomieni przewodnicy pracy, są to liczni wyspecjalizowani i kulturalni robotnicy”.

Szkolenie zawodowe kadr musi przyjąć u nas charakter masowego ruchu, musi zrodzić formy kształcenia właściwe temu rewolucyjnemu ruchowi powstawania nowej inteligencji. Tu nie chodzi oczywiście o powtarzanie tradycyjnych, burżuazyjnych wzorków przystosowanych do ustroju kapitalistycznego, który ani mógł ani chciał wyrzucić się „rezerwową armią” bezrobotnych, i na którym, jak stygmat gnicia, leżała słynna „nadprodukcja” inteligencji.

Szkolenie inteligencji robotniczej i kadr zawodowych przybierać będzie różną formę nieznaną ustrojowi kapitalistycznemu; poza wieloletnim kształceniem młodzieży robotniczej w szkołach i na uniwersytetach kształcić się też będą doświadczeni zawodowo robotnicy. Teoria rzucona na bogactwo ich doświadczeń wielokrotnie nabyte w praktyce umiejętności; kształcić się będą robotnicy nawet bez czasowego oderwania się od pracy zawodowej, korzystając z pomocy, jaką musi im państwo ludowe zapewnić.

Wagę i konkretność tej sprawy uwidacznia powołanie do życia Centralnego Urzędu Szkolenia Kadr Zawodowych, na którym spocznie cała ta niełatwa problematyka.

„W okresie sześciolatki — czytamy w wytycznych planu sześciolennego — winno zostać przekształconych w zawodach nierolniczych ponad 800 — 900 tys. robotników, 80 — 100 tys. techników i ok. 24 tys. inżynierów”.

Już samo to zapotrzebowanie, sam tylko problem szkolenia zawodowego, który bliższy jest wprawdzie problemowi powstawania nowej inteligencji ludowej, lecz nie pokrywa się z nim — ostro stawia potrzebę zmobilizowania i zwielokrotnienia wszystkich niezbędnych do tego sił i środków. Jednym z nich jest niewątpliwie działalność wydawnicza w całej szerokości jej problematyki programowej i ilościowej. Nie wolno zapominać, że przy ogromnej wadze tego odcinka ruchu wydawniczego, który zapewnić musi awansującym zawodowo robotnikom literaturę techniczno-naukową z wszystkich dziedzin gospodarki narodowej i na różnych poziomach wykładu — sprawy wydawnicze w planie 6-letnim do tego tylko się nie ograniczają. Sprawa narastania rewolucyjnej inteligencji ludowej wiąże się nie tylko z kwestią jej zawodowej sprawności, ale też z kwestią nasycenia jej humanistyczną treścią kultury nagromadzonej w rozwoju ludzkości.

W czasie wojny miałem okazję przysłuchiwać się rozmowie kilku lotników radzieckich. Któryś z nich poruszył temat literacki, związany bodajże z jakąś premią. Wywiązała się dość ożywiona rozmowa. Jeden tylko z lotników nie brał w niej udziału, a po dłuższym milczeniu jak gdyby z odcieniem satysfakcji zwrócił się do pozostałych: „Wiedcie, że ja od opuszczenia szkoły nie przeczytałem nie tylko ani jednego dramatu ale nawet ani jednego wiersza. Czytałem tylko książki fachowe”. Zapanowało milczenie i pewne zakłopotanie. Po dłuższej chwili jeden z rozmówców zwrócił się do pierwszego tonem głębokiego zdziwienia: „Ani jednego wiersza nie przeczytałeś?... To ty możesz łatwo karę skrócić”.

Bogate tradycje kulturalne narodu rosyjskiego, głęboki humanizm socjalistyczny, umiłowanie narodowej i ogólnoludzkiej kultury — wszystko to wyłożyło tak bardzo odmienny pod względem treści duchowej i człowieczego oblicza wizerunek radzieckiego chłopca-technika lub robotni-

ka-mechanika od pustogłowego, żującego gumę modelu amerykańskiego specja i fachowca.

Problematyka naszego planu wydawniczego lat najbliższych jest problematyką najogólniejszych i najbardziej ścisłych celów i zadań planu 6-letniego. Myliłby się ten, kto by ją sprowadzał li tylko do zagadnień utylitarno - zawodowych. Szkolenia zawodowego nie wolno odrywać od wyrobienia kulturalnego.

Miarą realizacji tych zadań, wśród których mieści się również zmiana człowieka w Polsce, będzie między innymi miara wzrostu czytelnictwa we wszystkich jego postaciach. Nie tylko więc w postaci zdobywania nowych czytelników, ale też w postaci wzrostu „chłonności” czytelniczej, pogłębiania i rozszerzania zainteresowań ludzi obcujących już z książką.

Budownictwu socjalistycznemu w ZSRR towarzyszył nieustanny i gwałtowny wzrost czytelnictwa, zaspakajający głód kulturalny i pragnienie wiedzy u milionowych mas robotników i chłopów.

Nasze powojenne doświadczenia i wyniki wydawnicze nie świadczą o tym, iż polski ruch wydawniczy znalazł właściwe formy i metody dla swego pełnego rozwoju. Zadłużenie nasze w stosunku do potrzeb kulturalnych gospodarki narodowej w okresie budowania zrebów socjalizmu jest znaczne. Równocześnie jednak doświadczenia te i wyniki wcale nie świadczą o tym, iż nie jesteśmy zdolni do wielkiego na tym polu wysiłku i dokonania niezbędnego przełomu.

Dowodem tego jest i odrodzenie się ruchu wydawniczego po wojnie w błyskawicznym (w porównaniu z kapitalistycznymi krajami zachodnio - europejskimi) tempie, i powstanie na odcinku społecznym wielkich instytucji wydawniczych na miarę nie mającą wzorów w naszej przedwojennej rzeczywistości, i wreszcie obiektywny fakt podniesienia stopnia nasycenia kraju książką w porównaniu z latami przedwojennymi. W roku 1938 na głowę ludności wydawaliśmy niespełna jedną książkę (0,9), a w roku 1948 — na głowę ludności wydajemy ponad dwie i ćwierć książki. Tempo rozwoju ruchu wydawniczego po zniszczeniu wojennych charakterystyk to, iż produkcja wydawnicza roku 1948 stanowi 156 proc. naszej produkcji wydawniczej z roku 1946.

Nieporównanie silnie uwidacznia się wzrost czytelnictwa prasy w porównaniu z okresem przedwojennym. Gdy w r. 1938 na 1.000 ludności przypadało 17,5 egz. dziennika — to w roku 1948 na 1.000 ludności mamy 135 egz. dzienników, czyli 770 proc.

Tak poważny wzrost czytelnictwa prasy jest zjawiskiem nie obojętnym dla możliwości rozwojowych czytelnictwa w zakresie książki. Gazeta spełnia tu bowiem ważną rolę „torowania drogi” książce, której jeszcze ani nie nadajemy produkować ani tym więcej nie nadajamy (poza ostatnimi wyłomami KUK oraz poszczególnych wydawnictw) rozpowszechnić.

Świadomy i zorganizowany wysiłek w okresie realizacji planu 6-letniego musi być skierowany nie tylko na wypełnienie należytą treścią ruchu wydawniczego, lecz na to, aby doprowadzić czytelnictwo w Polsce do planowo określonej ilości arkuszy druk. na głowę ludności, ażeby nasycić kraj książką w taki sposób, by pomimo zniszczenia w czasie wojny zbiorów i bibliotek nie mniej niż jedna książka wypadała na 5 mieszkańców.

Sprawa ta wiąże się jednak z koniecznością wyciągnięcia pewnych wniosków z nagromadzonych przez odrodzony po wojnie ruch wydawniczy doświadczeń i wniesienia jasności w dwie podstawowe dla tego zagadnienia sprawy: jedna z nich — to sprawa metod i granic planowania wydawniczego; druga — to sprawa właściwych form organizacji i koordynacji ruchu wydawniczego.

„Mówiąc o 6-letnim planie kulturalnym — powiedział na Kongresie Zjednoczeniowym min. Sokorski — mamy zawsze na myśli planowanie tych zagadnień, które składają się na powstanie nowej społecznej bazy socjalistycznej kultury... i dlatego w pierwszym rzędzie możemy mówić o planowej organizacji zamówienia społecznego. Ta świadoma organizacja zamówienia społecznego i świadoma organizacja nowego odbiorcy, czytelnika oraz widza opiera się bezpośrednio o konkretną możliwość planowania kulturalnego, które na tym etapie daje się uchwycić w ścisłe cyfry i dane liczbowe... Całkowicie podlega planowaniu ruch wydawniczy, obejmujący literaturę naukową i beletrystyczną

pod kątem potrzeb naszej partii i najszerzych mas pracujących”.

Stworzenie ośrodka badania i planowania ruchu wydawniczego i spożycia książki wydaje się podstawową koniecznością jakiegokolwiek świadomego i zorganizowanego wysiłku w kierunku rozwoju czytelnictwa. Lecz ośrodek nie na miarę potrzeb tego czy innego, choćby największego wydawnictwa. Ośrodek na miarę potrzeb kraju, na miarę potrzeb ogólnonarodowej gospodarki kulturalnej.

Ażeby planować i plany realizować, trzeba przede wszystkim wiedzieć, kto, gdzie, ile i jakich książek czyta. Tu nie wystarczy „dobre wiadomości” lub „osobiste informacje” tego czy innego pracownika albo działacza kulturalnego. To trzeba śledzić, mierzyć i rachować. W przytoczonym wyżej przemówieniu o planowaniu kulturalnym min. Sokorski mówił: „Klasa robotnicza nie dyktuje tematyki czy poszczególnych rodzajów twórczości;...my nie planujemy ilości ani jakości dzieł artystycznych, my planujemy warunki, które składają się na powstanie kadr twórców i kadr szerokich rzesz nowych świadomych odbiorców. My planujemy bazę materialną nowej kultury i jej zjawisk artystycznych”.

W słowach tych zawarta była odpowiedź wszystkim wulgaryzatorom lub insynuatorom, przypisującym partii robotniczej chęć degradowania pisarza do roli wykonawcy „zamówienia” przy cichym „anulowaniu” lub znieszczeniu zasadniczej treści przymiotnika: społecznego, rzekomą chęć gospodarowania materiałem artystycznym, będącym w posiadaniu twórcy. Dotychczasowe dyskusje nie uchroniły jeszcze pojęcia „zamówienia społecznego” od wypaczeń i wulgaryzacji, podobnie jak dyskusowanie o realizmie socjalistycznym nie udaremniło jeszcze złośliwych czy nawet „dobrotliwych” prób spływania i utylizowania tego podstawowego pojęcia estetyki marksistowsko-leninowskiej.

Oczywiście trudności i walka tocząca się na froncie ideologicznym nie spowodują rewizji tych dwóch tak blisko siebie historycznie filozoficznie pozostających pojęć. Raczej zmuszą do „rewizji” swojej nieświadomości tych, dla których pojęcie zamówienia społecznego nie wykracza poza świat asocjacji rynku towarowego, a pojęcie realizmu socjalistycznego poza asyntetyczną, racjonalistyczną i naturalistyczną, słowem — burżuazyjną konstrukcję.

Zamówienie społeczne nie jest wynalazkiem czy też „modą” ostatniego dziesięciolecia. Pojęcie to stanowiło próbiez twórczości artystycznej i piśmiennictwa naukowego wszystkich czasów. Między twórczością literacką i naukową lat przedwojennych i powojennych różnica polega na tym, że wówczas twórczość powstawała nie na „zamówienie społeczne”, obecnie zaś ono winno ją określać, lecz na czymś zupełnie innym. Różnica leży w tym, na czym zamówienie społeczne, na zamówienie jakich klas społecznych kształtował się ruch wydawniczy wówczas, i na zamówienie społeczne jakich klas kształtuje się on obecnie. To pierwsze. A drugie — jak dalece żywiło ono realizowało się owo zamówienie społeczne w ruchu wydawniczym Polski kapitalistycznej i jak dalece planowo realizować się ma ono w Polsce idącej do socjalizmu.

Mylnie jednak rozumiałby przytoczone słowa min. Sokorskiego ten, kto by sądził, iż wynika z nich hołdowanie zasadzie zupełnej żywiołowości tej rodzonej siostrzyczy słynnej fikcji „sztuka dla sztuki”.

Planując rozwój ruchu wydawniczego i czytelnictwa nikt rozsądny nie będzie wdzierał się, rzecz jasna, w warsztat artystyczny lub naukowy piszących. Planowanie wydawnicze ma oczywiście swoje granice. Ale czy właściwie rozumiane pojęcie planowania wydawniczego oznacza cokolwiek innego, jak świadome ustosunkowanie się do toczącej się walki klasowej na froncie ideologicznym, walki wyrażającej się z zamówieniem społecznym? A planowania wyrażającego zamówienie społeczne klasy robotniczej, która jest historycznym nosicielem postępu i rozwoju narodu do socjalizmu, ruch rewolucyjny — rzecz jasna — nie tylko się nie wyrzeknie, lecz przeciwnie: musi o nie stoczyć walkę z wszystkimi zakorzenionymi przesądami drobnomieszczańskimi.

Jednym z poważnych niebezpieczeństw na drodze do realizacji świadomego, rewolucyjnego planowania wydawniczego jest jego „umartwienie”, topienie w abstrakcji, przenoszenie planowania na grunt rozważań oderwanych od żywego, twórczego,

codziennego ruchu wydawniczego. Wszystkie próby układania planu wydawniczego w ciszy gabinetów i sal bibliotecznych, rojenia o możliwości stworzenia takiego doskonałego planu przez „romadę” znawców literatury wszystkich rodzajów, krajów i epok są po prostu spychaniem planowania w ślepy zaułek, z którego nikt nigdy nie zdoła nadażyć za żywym, twórczym procesem wydawniczym. Przeniesienie jakiegoś zawieszonoego w próżni „bibliofilstwa” to zarazem niedostrzeżenie politycznego, twórczego, z czynnymi siłami klasowymi związanego procesu walki o treść kultury.

Każdy utwór jest oczywiście produktem określonych stosunków klasowych. Dzieło literackie stanowi indywidualną, artystyczną wizję świata realnych zjawisk i stosunków panujących w społeczeństwie. Lecz jak długo utwór pozostaje w stanie rękopisu — tak długo stosunki społeczne działają na niego; z chwilą, gdy staje się książką — on zaczyna oddziaływać na świat stosunków międzyludzkich.

Dzieło we właściwym znaczeniu staje się nim dopiero z chwilą uczynienia go przedmiotem społecznego obiegu przez drukowanie w wielkiej liczbie dochodzących do ludzi książek. Podobnie jak nie ma mowy ludzkiej poza człowiekiem, tak fikcją jest dzieło naukowe czy literackie poza jego społecznym oddziaływaniem.

Toteż ruch wydawniczy obejmujący nie tylko przeciętne wznowienia i przekłady (choć wydawanie tych również nie jest zawieszono w próżni społecznej), ale też bieżącą twórczość naukową i literacką z różnych dziedzin i na różnych poziomach, stanowi żywy fragment społecznego procesu kulturotwórczego. O ile więc można planować ruch wydawniczy — o tyle nie można nie planować twórczości piśmienniczej. Oczywiście nie mówi się tu o planowaniu w kierunku indywidualnie określonego dzieła lub pisarza czy uczonoego, lecz w kategoriach znacznie szerszych i ogólniejszych, choć planowaniu podlegających.

Punktem wyjściowym dla planowania wydawniczego musi być uchwycenie żywego ruchu wydawniczego z jego wynikami i tendencjami, poddanie praktyki wydawniczej analizie pod kątem widzenia walki klas i z pozycji klasy robotniczej walczącej o socjalizm. Taka tylko a nie „katalogowa” metoda w powiązaniu z oceną i korektą realnie istniejącego procesu kulturotwórczego w dziedzinie piśmienniczo - wydawniczej może w zestawieniu z generalnymi wytycznymi walki i strategii klasowej dać przesłanki zamówienia społecznego klasy robotniczej, tzn. dać przesłanki planu wydawniczego.

Wstępem do planu wydawniczego musi być przeto podsumowanie, sklasyfikowanie i poddanie krytycznej ocenie powojennego ruchu wydawniczego, wykrycie jego wypaczeń, przerostów i niedorozwoju i — na tej podstawie — postulowanie korektyw.

W tym dopiero miejscu otwiera się niemały zakres pracy badawczej nad tym, jak postulowany plan wydawniczy wykonać.

Bez dokonania tej pracy, bez stałego śledzenia ruchu wydawniczego nikt nie zdoła uniknąć domysłów lub ogólników w odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące charakterystyki powojennego ruchu wydawniczego. Trudno będzie uchwycić tak istotne dla sprawy tej zagadnienie, jak to np. jakim procentem w ogólnej ilości wydawanych u nas książek z obcej literatury reprezentowana jest literatura rosyjska i radziecka. Jak ta sama sprawa wygląda w świetle nakładów czy nawet arkuszy druku. Jak wygląda sprawa zbliżenia kulturalnego krajów demokracji ludowej w ruchu wydawniczym. Spraw takich, wymagających stałego śledzenia i aktywnego oddziaływania, jest przecież w naszej problematyce wydawniczej nieporównanie więcej. Chodzi tu o planowo-wydawnicze rozwiązanie całego problemu kształcenia nowej, rewolucyjnej inteligencji ludowej.

Jeżeli rozwój ruchu wydawniczego w Polsce nie ma pójść w kierunku stworzenia jednego monopolistycznego i gigantycznego wydawnictwa, lecz po linii współistnienia większej liczby bardziej lub mniej wyspecjalizowanych instytucji wydawniczych — państwowych ośrodków badawczych - koordynacyjnych i planowy wydaje się nieunikniony. Stanowiąc on winien centralne miejsce zetknięcia się zagadnień programowo - wydawniczych z zagadnieniami bazy materialnej i sprawami czytelniczo - dystrybucyjnymi, skupiając w sobie rozproszone pomiędzy wszystkie ministerstwa sprawy programowe, przemysłowo-



we, finansowe, oświatowe, handlowe itd. itd.

Ruch wydawniczy posiada tę wyróżniającą go cechę specyficzną, iż realizuje twórczość duchową, artystyczną, kulturalną środkami przemysłowymi — na bazie surowców, maszyn i kapitału. Rozproszenie dyspozycji pomiędzy różne ośrodki władzy państwowej wciąż grozi „przeżyciem” ruchu wydawniczego bądź w stronę „kultury” z niedocenieniem jego rygorów ekonomicznych, bądź w stronę „przemysłu” z niedocenieniem jego atrybutów kulturalnych.

Obecnie — jak wiadomo — mamy do czynienia z szeregiem niepowiązanych lub bardzo luźno z sobą powiązanych wydawnictw, z których każde w pracy swej współdziałać musi z wieloma różnymi ministerstwami. W sprawach programowych zainteresowane są właściwie wszystkie ministerstwa, szczególnie zaś Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Ministerstwo Oświaty. Lecz w pozostałych sprawach kompetencje podzielone są pomiędzy najróżniejsze ministerstwa, a więc: Min. Przemysłu — drukarstwo i papier, Min. Skarbu — finanse, Min. Handlu Wewn. — księgarstwo,

Min. Handlu Zagranicznego — umowy i obroty zagraniczne; zakupy biblioteczne i kwalifikowanie ksiązek leży w kompetencji Min. Oświaty itd. itd.

Trudno w ministerstwach ideologicznych znaleźć rozwiązania dla problematyki o charakterze gospodarczym, trudno w ministerstwach gospodarczych rozwiązywać problemy ideologiczne, a cóż dopiero, gdy i ta i tamta problematyka rozproszona jest jeszcze pomiędzy różne ministerstwa gospodarcze lub ideologiczne.

Jeżeli rok 1949 ma być wykorzystany do stworzenia podstaw planowania działalno-

ści wydawniczej, jeżeli polski ruch wydawniczy ma stanowić ideologiczne odzwierciedlenie walki o socjalizm i uzbrojenie narodu do tej walki, jeżeli wszystko to musi być przeliczone na miliardy złotych, miliony ton papieru, zdolność przepustową naszego drukarstwa, sieć kanałów odpływowych dla książki — musi być wniesiona jasność w podstawowe sprawy planowania wydawniczego i musi nastąpić jakies rozumne uchwycenie organizacyjne tak bardzo złożonej i wielostronnej dziedziny wydawniczej.

Aleksander Bachrach

JANINA PREGER

## Dwudziestopięciolecie twórczości Szolochowa

W Moskwie, na Wozdwiżence, w Proletkulkie na wieczorne literackim MAPPU, można się całkiem niespodziewanie dowiedzieć o tym, że bodiaki stepowe (nie po prostu bodiaki, lecz właśnie „siwe bodiaki”) posiadają szczególnie zapach. Prócz tego można usłyszeć, jak zachłystując się nadętymi frazesami umierali w dońskich i kubańskich stepach czerwoni bojownicy.

Jakiś pisarz, który nie wahał prochu, bardzo wzruszająco opowiada o wojnie domowej, o „braciach” koniecznie „braciach-czerwonarmistach” o wonnych siwych bodiakach — i wstrząśnięte audytorium, przeważnie mile dziewczątka ze szkół średnich entuzjastycznie oklaskami szczerze nagradzają czytającego.

W istocie bodiaki — to paskudna biała trawa bez żadnego zapachu. Nie biegają po niej stada owiec, ponieważ owce zdychają od kolców bodiaków, które im wiażą pod skórę. Zarosłe babką i lebiądą okopy (można je zobaczyć na przejeździe za każdą stacją) milczący świadkowie niedawnych walk, mogłyby powiedzieć o tym, jak pięknie i prosto umierali w nich ludzie. Lecz w okopach, na pół rozwalonych przez czas i niepogody, rano tarzają się świnię ze stancji, czasem siadają koło nich syte gęsi, kroczące z pastwiska do domu, a w nocy, kiedy ubywający księżyc niziutko spaceruje nad stepem, do okopów, gdzie głębiej i przytulniej, chłopcy ze stancji prowadzą dziewczęta.

Leżąc toczą nieskomplikowane rozmowy. Czyjaś ręka natrafi w trawie na twarde przedmiot — zardzewiały, niewystrzelony magazyn. Zieleniałe patrony mocno się zrosły, ostrożnie kule chowają w sobie niewypowiedzianą groźbę lecz dwoje w okopie nie pyta czemu w swoim czasie gospodarz okopu nie wystrzelił tego magazynu, nie myśli o tym, z jakiej gubernii pochodził i czy miał matkę. Kurząc chłopiec mówi, że Duniacha właśnie wyprocesowała alimenty od Griszki, że Prochora znowu złapał z samogonem, że Wanucha cielaka zeżarł, a dostał premię ubezpieczeniową!

No i czy wobec tego wszystkiego bodiaki mogą mieć jakikolwiek zapach? — pytał dwudziestoletni Szolochow w przedmowie do zbioru pierwszych opowiadań wydanego w 1925 roku pod tytułem „Lazurowy step”.

Zadanie, które tu sobie postawił, odkłamać kozactwo, step, wojnę domową nad Donem z fałszywej poetyczności — a pokazać ich prawdę i prawdziwe piękno — wypełnił im wspaniałym dziełem czternastu lat pracy piarskiej, w epopei „Cichy Don”.

„Wasze wyobrażenia o Donie i jego ludziach, o ich życiu, obyczajach i bycie są błędne. Zbyt upraszczacie wszystko i sprowadzacie do szablonu. Gdy mówicie o kozaku, macie na myśli białego, a zapominacie o czerwonym i zupełnie nie pamiętacie, że wielka część pracujących kozaków należała do zielonych... Dostrzegacie tylko okrucieństwo, ordynarność, ciemnotę kozaków, ale czy przypuszczacie, że pod tą ordynarnością ukrywała się niekiedy wzniosła ludzkość i czułość?”

Czy wiecie o krwawych sporach w rodzinach kozackich, o tym, jakiego męstwa, walczności, wytrwałości, dumy trzeba było do tej walki? Czy domyślacie się, jak pełna sprzeczności i męki była droga do rewolucji średniego kozaka, jeśli był zdolny, mądry, szczerzy i błąkał się w poszukiwaniu prawdy i sprawiedliwości?”

„Cichy Don”, traktując najbardziej złożone zagadnienia psychiki mas ludowych i jednostek w epoce przełomu — jest wielkim dziełem realizmu psychologicznego. Szolochow odsłonił w swoich bohaterach — chłopach — ukazując jednocześnie tych ludzi w jaskrawym świetle prawdy. Ich zachowanie nie jest często okrutne, bezwzględne, słowa brutalne — lub pełne prawdziwego piękna poezji ludowej, dowcipu ludowego, przysłowia. Bogactwo folklorystyczne swojego ludu oddał Szolochow w swej epopei niezubozone.

Skąd pisarz zna tych ludzi? Skąd zna ich mowę, ich byt, ich myśli? Michał Szolochow nie wyuczył się stylu kozaków dońskich ze słowników gwarowych, w bibliotekach, nie erudycja literata była źródłem tej barwności opisów bytu kozackiego we wsł i w wojsku, tej znajomości uczuć i odruchów ludzi, tej wyrazistości charakterów i plastyki żywej mowy, jaką posiadają bohaterowie epopei o „Cichym Donie”. Szolochow jest pisarzem ludowym. Urodził się w roku 1905 w stancji Wieszeńskiej, którą znamy z jego książki.

Oto jak pisarz mówi o swoim pochodzeniu:

„Ojciec ze stanu plebejskiego, wychodzący z Riazkańskiej gubernii, aż do swojej śmierci (w 1925 roku) zmieniał profesje. Był kolejno „szybajem”, to jest handlarzem bydła, rolnikiem na zakupionej kozackiej ziemi, subiektem w sklepie, zarządzającym w parowym młynie i tak dalej. — Matka — półkozacka, półchłopka. Nauczyła się pisać, kiedy ojciec mnie odwiózł do gimnazjum, żeby bez pomocy ojca samodzielnie móc pisać do mnie listy. — Do 1912 roku i ona i ja mieliśmy ziemię: ona jako wdowa po kozaku ja jako syn kozaka lecz w 1912 roku ojciec mój, Szolochow, usynowił mnie (dotychczas nie miał ślubu z matką), i stałem uznany za „syna mieszczanina”. — Uczyłem się w różnych gimnazjach do 1918 roku. W czasie wojny domowej byłem w kraju Dońskim. — Od 1920 roku służyłem i tułałem się po ziemi Dońskiej. Długo pracowałem w aprowizacji. Ścigałem bandy, które panowały w kraju Dońskim do 1922 roku, i bandy nas goniły. Wszystko szło jak się należy. Zdarzało się być w niejednej opresji, ale dziś się o tym zapomnia. — Piszę od 1923 roku i od tego roku drukuję mnie w komsołskich gazetach i czasopiśmie. Pierwszą książkę wydałem w 1925 roku. Od 1926 roku piszę „Cichy Don”...”

Krytyk sowiecki Leźniew uzupełnia tę autobiografię. Do gimnazjum Szolochow uczęszczał do lat trzynastu — pozostała wielką wiedzę, szeroką znajomość literatury ojczystej i światowej zdobył sam. W osiemnastym roku życia przyjeżdża do Moskwy i zaczyna pisać, uczy się pisać. Zarabia na życie jako robotnik niewykwalifikowany, jako tragarz, kamieniarz, kancelista. Kiedy w 1925 roku młody pisarz powziął zamiar stworzenia wielkiej powieści z życia kozackiego, która później otrzymała tytuł „Cichego Donu” — opuszcza Moskwę i wraca do okolic rodzinnych.

Znakomity pisarz Serafimowicz, który patronował młodemu Szolochowowi na drodze literackiej, tak opowiada o jego ówczesnym życiu.

„Pracuje tylko po nocach. Ten zrywają wprowadzili goście, którzy hurmem wiażą do pisarza... Namieństwo kocha step, jego gorący wiatr wschodni, jego upalne lub łagodne słońce, jary, zagajniki, jego zwierzęta i ptaki. Namieństwo kocha swój cichy Don... Szolochow z zapalem uprawia rybacko. Łapanie ryb w Donie i polowanie, kiedy pisarz od rana do nocy brodzi po stepie, na którym posiane są po jarach i przy rzeczkach stepowych kółchozy — dostarcza Szolochowowi ogromnej radości i ogromnego materiału twórczego...”

Pisarz ma wielu znajomych i przyjaciół wśród kozackich rybaków. Uczy się od nich i obserwuje... Często przyjeżdża do jakiegoś kółchozu, zbiera starców i młodzież. Spiewają, tańczą, opowiadają bez końca o wojnie, o rewolucji, o życiu w kółchozie, o budownictwie. Szolochow doskonale zna gospodarstwo wiejskie, gdyż nie obserwował jej zdala, lecz sam potrafił w niej brać udział...”

W ten sposób powstały cztery tomy epopei „Cichego Donu”, epopei o ludzie kozackim — podczas rewolucji i wojny domowej.

Meźni, piękni, dumni, uparci i silni; wobec trudów, a słabi wobec namienności; kpiarze, błagierzy, zabijacy, chłwi, mordery, kochankowie, rewolucjonści, biali i wahający się — są chłopcy — kozacy Szolochowa. Postacie jego wielkiej powieści są głęboko ludzkie. Każdy czytelnik od razu dojrzy w bohaterach Szolochowa prawdę, przeżył, realizm psychologiczny, wielką znajomość człowieka. Ze znajomości człowieka czerpie Szolochow się pisarską, pozwalającą mu tworzyć porównanie indywidualności ludzkie: buntowników, kochanków — jak para głównych bohaterów Grzegorz i Aksinia; rewolucjonistów — i wrogów ludu. — Ale nie tylko jednostkę, — bohatera głównego pokazuje Szolochow tak ciekawie, z całym bogactwem ludzkim — jest to pisarz, który dostarcza czytelnikom wielkiej radości, odkrywając im oblicza wielu ludzi — tak jak wielu ludzi ukazywał nam w swojej twórczości Szekspir, Dickens.

Obyczajowy, epicki opis ludzi jest silną stroną powieści Szolochowa. Był społecznym, silną klasowych określeń, tradycja stanowa jaskrawo zabarwiająca oblicze tych ludzi, których odmalowuje w swojej epopei Szolochow. W ich życie psychiczne wtargnęła przemiana, którą przyniosła rewolucja — nowy ustrój, inny porządek życia. Nie byli do niej przygotowani — i w duszach ich toczy się tragiczna walka starego z nowym.

W momencie wybuchu wojny domowej jaskrawo uwidaczniają się charaktery i klasowe uwarunkowanie psychologii jednostek. Ale nie wynika z tego żadne uproszczenie ich drogi życiowej, żadne ułatwienie zadania autora. Paradoksy, antynomie i tragiczne konflikty charakterów ludzkich pozostają, mimo, że ludzie ci tak mocno i wyraźnie zakorzenieni są społecznie. Psychologia postaci w powieściach wielkiego pisarza radzieckiego jest dla czytelników najciekawszą stroną jego pełnej talentu twórczości.

Z jak wielką głębią uczuciową przedstawił Szolochow miłość, starość i młodość w życiu człowieka — w dziejach niepoprawnych i grzesznych, nierozłącznych kochanków Grzegorza i Aksinii. W ujęciu tego odwiecznego tematu powieściowego Szolochow dał miarę swej beletyryki; — miarę, która pozwalała go ocenić jako klasyka światowej skali.

Powieść Szolochowa wywołała żywą dyskusję w ówczesnym środowisku literackim, nie od razu uzyskała powszechne zrozumienie i uznanie. Autorowi stawiano zarzuty ideowe i artystyczne. Przypomnijmy sobie akcję „Cichego Donu”.

Los Grzegorza Melechowa jest smutny, jak bywa życie ludzkie. Grzegorz, młody kozak o wybitnych zdolnościach, wolał, inteligencją i charakterem wyróżniający się wśród rówieśników, rozróżniający dobro od zła i szukający dobra — źle kieruje swoim życiem osobistym i swoim udziałem w historii. Jego miłości towarzyszy szereg nieszcześć, a jego droga ideowa kończy się bankrutstwem. Jest to bankrutstwo człowieka, którego klasa nie osiągnęła jeszcze swej świadomości społecznej. Ten zdolny człowiek, który mógł wiele zdziałać, jest ślepy instynktem związany z rodziną, z krewnymi, ze środowiskiem nieświadomego klasowo, średniozamożnego i nawet biednego chłopstwa kozackiego — i dlatego po bolesnych wahaniach wybiera w wojnie domowej w kraju Dońskim stronę kontrrewolucji. W ten sposób przegrzywa swoje życie, gdyż był człowiekiem szukającym sprawiedliwości w stosunkach międzyludzkich, szukającym prawdy społecznej — i nie znalazł jej błądząc i męcząc się i upierając się w wierności dla złej sprawy. Grzegorz, szukający wolności, dumny przedstawiciel godności ludzkiej w chłopie — znalazł się w obozie wrogów ludu, w wojskach kontrrewolucji, zabijał swoich braci — czerwonych kozaków i wręczcie został oszukany przez swoich „białych” dowódców, którzy uciekli po klęsce.

Grzegorz zmarnował swoje bujne życie — a życie jego społeczeństwa, jego narodu pójdzie naprzód nową drogą socjalizmu.

Takie zakończenie powieści, taki los bohatera — był przedmiotem wielu ataków i sporów. Epopei Szolochowa stawiano zarzuty natury ideologicznej, źle rozumiano i źle tłumaczono dzieło. W tych dyskusjach wyjaśniła się koncepcja ideologiczna „Cichego Donu” i wielki pisarz znalazł zrozumienie i uznanie. W roku 1941 odznaczono go nagrodą stalinską.

Zarzut można streścić bardzo prosto: Pisarz — bolszewicki — rewolucjonista, który przede wszystkim walczył z bandami „białych” — na bohatera głównego swej epopei obrał kozaka — kontrrewolucjonistę. Pisarz-marksista przedstawia, jak masy biednego kozactwa płyną w mętnej nurcie kontrrewolucji, wbrew swojemu klasowemu interesowi.

Tematem „Cichego Donu” jest wojna domowa w kraju Dońskim. Wojna w okolicach rodzinnych, wojna, w której sam pisarz brał udział — dlatego zagadnienie tej wojny było jego własnym zagadnieniem, było zagadnieniem duszy i losów życia jego ziomek — to tłumaczy dostatecznie wybór tematu przez pisarza. Większość kozaków stała po stronie kontrrewolucji. Bohater powieści musiał być reprezentantem swojego środowiska.

Leźniew tak zbiera wyniki dyskusji, toczonej w krytyce radzieckiej:

„Stanowczość, odwieczna konserwatywna tradycja (kraju Dońskiego), reakcyjne pojmowanie „kozackiej wolności” i „honoru kozackiego”, przy tym niski poziom kultury powszechnej i rozwoju politycznego prowadziły do tego, że po stronie białych stawali często także biedni kozacy, nie mówiąc już o średniozamożnych. Reakcyjna ideologia jest również siłą społeczną, kształtującą wolę ludzi. Żadną miarą nie można jej pomijać, jeśli chce się dobrze zrozumieć przeszłość”.

W kraju Dońskim często świadomość nie odpowiadała jeszcze bytowi, częste były najróżnorodniejsze odstępstwa od „normy”. I nie trzeba ich wcale wciskać w gotowe schematy, nie trzeba upraszczać skomplikowanych sprzeczności życiowych, traktować ich szablonowo lub ignorować. W tych odstępstwach jak w każdym wielokrotnie występującym fakcie społecznym, jest pewna prawidłowość — i rzecz na tym polega, aby je dobrze zrozumieć i uogólnić. I Szolochow w swoich książkach daje te artystyczne uogólnienia. A choć dają je na podstawie stonunkowo wąskiego odcinka życia lokalnego, tylko na podstawie kozactwa — siła tych uogólnień jest wielka — bo wielki jest także świat i przeszłość narodów, i w powstawaniu nowego świata wiele jest nieoczekiwanych sprzeczności i najdziwniejszych odstępstw od „normy”.

Na temat rzekomo pesymistycznej konstrukcji losów ludzkich w powieści Szolochowa pisze krytyk Łukin: „W bitwach wojny domowej giną Szolochow Kotlarew, Bunczuk, Anna Fogudko, czerwony dowódca Lichaczew i wielu innych bolszewików, którym autor udzielił najlepszych cech charakteru radzieckiego bojownika, reprezentanta humanizmu socjalistycznego. Ostrość malowidła polega na tym, że walczyli z nimi często nie tylko bezpośredni wrogowie klasowi — lecz także i ci, o których sprawę walczone — przedstawiciele środowiska i nawet najbardziej kozacka, którzy na razie dali się uwieść wrogowi. Lecz cała kompozycja artystyczna utworu Szolochowa mówi nam o zwycięstwie tej nieśmiertelnej sprawy, za którą oddali życie owi bohaterowie bolszewicy, mówi o triumfie ludowej sprawiedliwości na ziemi dońskiej, złanej ich krwią”.

„Ideowo społeczny sens wyboru takiego skomplikowanego bohatera jak Grzegorz Melechow, polega na tym, że autor stara się rozwinąć jedno z podstawowych zagadnień, stojących przed literaturą sowiecką: opracowanie tego skomplikowanego obrazu zawiera postulat nowego wychowania ideowego ludzi, pracujących dla socjalizmu”. Okrucieństwo obrazów walki kozaków reakcyjnych i czerwonych nie jest brutalnym bezideowym naturalizmem. „Surowy, beziluzny realizm w opisie walki łączy się u Szolochowa z wysokim humanizmem rewolucyjnego romantyzmu, który nadaje sens tej walce, jaką natchniona jest cała twórczość Szolochowa, postacie jego bohaterów. Widać w tym także nieustające dążenie ku przyszłości, pojawia się spojrzenie w tę przyszłość, o którą toczy się walka”.

Krytyka radziecka uważa za wielką załugę Szolochowa, że w powieści swojej postawił sobie tak trudne zadanie, że tak trudne zagadnienie społeczne tak trafnie ujął jako myśliciel i tak wspaniale jako artysta.

W roku 1948 upłynęło 25 lat od chwili rozpoczęcia przez Szolochowa drogi piarskiej. 25 lat pracy pisarza przyniosło w plonie tom opowiadań młodzieńczych z wojny domowej w kraju dońskim, zatytułowany „Lazurowy step”, wielotomową epopeję na ten sam temat „Cichy Don” i powieść o kolektywizacji wsi „Zorany ugor”. Obecnie opracowuje Szolochow powieść z ostatniej wojny „Ci, co walczyli za ojczyznę”. Fragmenty jej były ogłoszone drukiem.

Janina Preger

### TREŚĆ NR 8:

Zygmunt Mycielski — Kilka myśli o Chopinie i polskiej muzyce współczesnej; Aleksander Jackiewicz — Miniatury Zofii Nałkowskiej; Mieczysław Jastrun — Wiersze; Zofia Lissa — Chopin w muzyce rosyjskiej; Michał Szolochow — Ci, co walczyli za Ojczyznę... Marek Wierczyński — Krzywda braci Mazanowskich; Janina Preger — Trwała pozycja literatury międzywojennej; Ryszard Matuszewski — W Słowacji; Adolf Sowiński — Kronika Galla Anonima; Gabriel Zych — Kiedy urodził się Chopin; Kazimierz Koźniewski — Zabawny Bałucki; Przegład „Prasy; R” — Mały Prokeshk marksizmu; Korespondencja; Noty.



WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

## DO POETÓW PROLETARIACKICH

Towarzysze,  
 pozwólcie  
 bez pozy,  
 że starszy towarzysz,  
 porozmawia z wami,  
 towarzyszu Świetłow,  
 Od sporów,  
 zachłystujemy się  
 a ja, towarzysze,  
 Urządźmy  
 Rozłożymy  
 dywanem  
 spilujemy kły —  
 rozdane  
 włożymy  
 do wspólnej  
 Uznamy,  
 że każdy  
 Każdy z nas  
 swoім  
 Rozkroimy  
 wspólnego  
 i każdy  
 po równym  
 Dość już  
 nawzajem  
 rozsoplajmy  
 misterne  
 A gdy mnie,  
 towarzysze,  
 głos zabiorę  
 i powiem  
 wprost  
 — Jam pono  
 akademik  
 ponoć  
 arcykaplan  
 poezji  
 A ja  
 w gruncie rzeczy  
 jak najwięcej poetów  
 Wielu już  
 wpadło  
 by się wynieść  
 nad innych  
 — My, mówią jedyni,  
 my proletariacy... —  
 A ja, niby co —  
 waluciarz jestem?  
 Jam jest  
 właściwie  
 nie lubię  
 owej  
 Zakasam rękawy:  
 walka?  
 No tu już!  
 Bardzo proszę.  
 Mamy  
 przed sobą  
 wierszoróbstwa  
 każdy  
 a więc popracujmy  
 do siódmych połów  
 nad podwyższeniem ilości.  
 Odmierzam  
 komuna  
 gatunki wierszy,  
 komunę  
 serce  
 że komuna  
 jest to  
 że komuna  
 jest to

A w poezji  
 nie pomogą ci  
 kumy  
 ni krewni —  
 urotekcją  
 nie zbijesz  
 rymów klepki.  
 Porzućmy  
 rozdawanie  
 orderów i premii.  
 towarzysze,  
 orzestańmy  
 naklejać  
 etykietki.  
 Nie myślę  
 chwalić się  
 po próżnicy,  
 lecz twierzę —  
 przede mną mówiono to wcześniej —  
 że komuna —  
 to miejsce,  
 a gdzie będzie  
 gdzie znikną urzędnicy  
 wiele  
 wierszy i pieśni.  
 Ledwie  
 ktoś zabył  
 parą rymków zgrabną —  
 a już z poeciątka —  
 geniusz nadzwyczajny,  
 Jednego  
 czerwonym Bajronem  
 wabią,  
 drugiego —  
 samym czerwonym Heinem.  
 Jednego się obawiam —  
 szczerze wyznam —  
 aby nie spłyciały  
 nasze dusze,  
 abyśmy  
 nie wznieśli  
 do rangi komunizmu  
 jarmarcznych śpiewanek  
 i bredni czastuszek.  
 Myśmy w duchu zgodni,  
 rozumiecie sami:  
 naszych serc  
 nie dzieli  
 bariera żadna.  
 Jeśli  
 wy nie z nami,  
 a my  
 nie z wami,  
 to coż nam  
 zostaje,  
 u diabła!  
 A jeśli ja  
 was  
 kiedykolwiek rąbnął  
 i piórem się  
 na was  
 zamierzył z ukosa,  
 to jam, jak mówią,  
 własną krwią to osiągnął,  
 jam  
 bardziej od was  
 rymy ciosał.  
 Towarzysze  
 porzućmy  
 handlarskie nawyczki  
 — poezja moja —  
 kramik mój prywatny! —  
 moja praca —  
 własnością was wszystkich —  
 rymy,  
 rytmy,  
 —tykaja,  
 tematy!  
 Cóż jest  
 od sławy  
 zwodniejszego bardziej?  
 Ze sobą  
 wezmę,  
 gdy do grobu pójde?  
 Gwizdę na to —  
 i mam  
 w najwyższej pogardzie  
 oienładze,  
 sławę  
 i inne bujdy.  
 Zamiast  
 rozdrabiać  
 poetycką władzę,  
 czułość  
 i ciętość  
 naszych słów zgromadźmy.  
 I nuże —  
 bez zawiści  
 i bez nazwisk  
 — razem —  
 w budowę komunizmu  
 słowa — cegły  
 kładźmy.  
 Zaczniemy,  
 towarzysze,  
 nogą w nogę kroczyć.  
 Precz  
 z wytartą peruką  
 lysego pryka!  
 A zechcemy się klócić —  
 wrogów dosyć —  
 po drugiej stronie  
 czerwonych barykad.

Przełożył Leon Pasternak

LIST DO UKOCHANEJ MOŁCZANOWA, KTORA  
 PORZUCIŁ, JAK O TYM DONOSI W NR. 219  
 „KOMSOMOLSKIEJ PRAWDY“ W WIERSZU  
 P. T. „SPOTKANIE“

Słyszę  
 rzucił cię Molczanow.  
 Stąd  
 podobno  
 cała rzecz ta,  
 że pod jesień  
 nie masz pauna  
 dość „aliganckiego“  
 swetra.  
 Na chusteczkę  
 twą niebieską  
 nie chce nawet  
 spojrzeć z bliska:  
 — Co?  
 W tym lachu?  
 w tej chusteczce?  
 przytem...  
 postarzałaś z pyska.  
 Lubię  
 baby  
 z tęgą piersią,  
 gdy jej nie masz,  
 znajduję jeszcze  
 taką,  
 co ma pierś ładniejszą,  
 w bardziej aliganckim swetrze. --  
 Brylantyną  
 mażąc włoski,  
 świństwo to  
 przelawszy w wiersz,  
 chciałby  
 bazę marksistowską  
 podciągnąć  
 pod nowy swetr.  
 „Za lata prób,  
 za bóle niepojęte —  
 nie będę cierpiał, nie!  
 Ja pod tym cichym firmamentem  
 chcę kochać,  
 smlać się chcę“.  
 Powiedziane dosadnie.  
 Uważajcie, jak ładnie:  
 Szedłem górą — dołem,  
 szedłem sobie wprost  
 i do socjalizmu  
 budowałem most,  
 nie skończyłem  
 w pocie czołka,  
 siadłem spocząć  
 u przyczółka,  
 Rośnie trawka  
 koło mostu,  
 mostem idą  
 trzy owieczki,  
 chcemy sobie  
 — ot, po prostu --  
 odpocząć  
 na brzegu rzeczki.  
 Szandar nasz tymczasem zwłnmy!  
 Tuż przed nami  
 kwiatki mięty  
 dalej  
 — drzewka,  
 a nad nimi  
 ciche, ciche firmamenty.  
 Porzucona,  
 nie lękaj się śpiewu  
 poety  
 w wieńcu bobkowym na głowie!  
 Zwyczajnie,  
 bez gniewu  
 uwieńczonemu  
 odpowiedź:  
 — Skończ swe trele — dyrdymalki!  
 nie wiem,  
 czy ja stara jestem,  
 lecz ty  
 i twoje pastorki  
 postarzelście z kretesem.  
 Wiem —  
 w sweterkach tych się pęta  
 po Pietrowce  
 babska banda.  
 W tych wytworknych  
 polskich swetrach  
 chadza do nas  
 kontrabanda.  
 Zamiast  
 muzom się najmować  
 i na moje  
 łaszki  
 zerkać,  
 kup  
 pożyczkę przemysłową,  
 pomóż  
 gdy się rodzi  
 perkal.  
 Czy ci  
 braknie  
 klepek w głowie?  
 Lira  
 myśl  
 wprawiła w zamęt?  
 Gdzież ci to,  
 Molczanow,  
 powiedz,  
 cichy  
 przyśnił się  
 firmament?  
 W gęstwinie  
 wytehnienia,  
 nad rzeczką,  
 nad sadem  
 czyż zagraniczne technienia  
 nie zawiewała  
 czadem?  
 Czy  
 zza miłosnych wynurzeń  
 nie słycać  
 wrogich pogrózek?  
 Gawiedzi literacka,  
 dość zadań o waszych nerwach,  
 odejście —  
 przeszkadzać nam  
 w mobilizacjach i manewrach.

Przełożył Seweryn Pollak



SIEFAN ZÓLKIEWSKI

## P O E Z J A A R I A Ń S K A

Od stu przeszło lat — od czasu opublikowania poraz pierwszy drukiem „Pamiętników” Paska odkrywamy literaturę polską XVII wieku. Poznaliśmy, najczęściej z rękopisów, Potockiego, Morsztynów, poetów, polemistów, pamiętnikarzy, bezimiennych twórców pieśni i satyr sowizdrzalskich, komedij rybakowskich.

Dziś po przeoraniu gruntu przez Brücknera, Kota, Badeckiego, Wajsbłuma, R. Pollaka, ostatnio Dürra-Durskiego i wielu innych badaczy ocknęliśmy się wobec literatury o wyjątkowej bujności, literatury jeszcze zupełnie nieznaną pokoleniu pozytywistycznym historyków.

Są wśród odkrytych wierszy osiągnięcia wyobraźni poetyckiej i ludzkiej pasji pisarza jakich równych nie znajdziemy często ani w liryce renesansowej ani w pseudo-klasycznej. Takie rewelacje poetyckie, właśnie poetyckie, artystyczne zawiera nowa antologia poezji arikańskiej<sup>1)</sup>. Są to przeważnie teksty poraz pierwszy drukowane z rękopisów. Książkę otwiera interesujący, kompetentny, blisko trzydziestostronicowy wstęp omawiający tło polityczno-gospodarcze poezji arikańskiej, rolę arian polskich w dziedzinie oświaty i postępu społecznego; wreszcie charakteryzujący samą antologię. Wybór wierszy składa się z 114 utworów wierszowanych i fragmentów prozy poetyckiej. Mamy tu poezje Grzegorza Pawła z Brzezin, Marcina Czechowicza, Samuela Przytkowskiego, Zbigniewa Morsztyna, Erazma Otwinowskiego, Wacława Potockiego, Jana Stoińskiego, Stanisława Lubienieckiego, Olbrycha Karmanowskiego, Hieronima Moskorzowskiego, kilku mniej znanych pisarzy i sporą garść anonimów. Wiersze ilustrują: 1) zagadnienia dogmatyczne — życie religijne w zborze i walkę z tradycją katolicką, 2) ideologię polityczną i społeczną arian, 3) ich działalność oświatowo-wychowawczą i literacką, 4) wreszcie prześladowania i dół wygnania. Zamykają książkę objaśnienia historyczne i słownikowe do poszczególnych utworów, oraz staranny indeks nazwisk.

Poświęcam tyle uwagi charakterystyce antologii, gdyż stanowi ona doskonały przykład poważnej i kulturalnie cennej pracy wydawniczej PZWS. Tom staropolskiej poezji wydany w dużym nakładzie, dobrze zbroszony, pięknie drukowany, tani! Doskonale opracowany naukowo i tak rewelacyjny ze względu na swoją zawartość!

Autor antologii postawił sobie cel skromny: dostarczyć tekstów wymaganych przez nowy szkolny program nauki literatury polskiej. Rezultat znacznie przekroczył zamierzenie. Omawiany zbiór liryki arikańskiej jest przede wszystkim niepopolitą książką, wartą czytania przez wszystkich. Liryka arikańska to nowo odkryte klasyczne dzieło naszej literatury, równie godne pamięci jak „Pieśni” Kochanowskiego, czy „Rytmy” Sepa-Szarzyńskiego.

Liryka arikańska to poezja walki, to pieśni zbuntowanych. Dlatego wiersze te mają dzisiaj tak ogromną aktualność artystyczną.

Liryka arikańska to poezja ze wszystkich znanej mi staropolskiej bodaj najpełniej, najbardziej związana z życiem, z jego wysokim, postępowym, szerokie horyzonty dołu ludzkiej obejmującym nurtem. To poezja wyrastająca ponad poziom ideowy i emocjonalny nawet tak ludzkiej, ale zbyt „codziennej” fraszki szlacheckiej, czy liryki mieszczanek.

Poezja arikańska — to poezja przełamania się wszystkich spraw ludzkich i wewnętrznych i społecznych w trudnym pryzmacie ideologii, surowej, komplikującej życie i jego sprawy. To poezja ciekawa świata, wrażliwa na historię po norwidsku, poezja wielkich uczuć i rzeczywistego boju, szlachetnego niepokoju duchowego, silnych charakterów. To doprawdy poezja pełnych ludzi.

Myszę, że dziś walczyliśmy właśnie o taką poezję, o poezję tak związaną z naszą rzeczywistością, jak arikańska z walką o postępowość swoich czasów.

Cheć w mojej recenzji zwrócić uwagę nie na historyczną, dokumentarną, ale żywą, poetycką treść omawianej liryki. Toteż ciekawych szczegółów historycznych dotyczących arianizmu odsyłam do wstępu Durra-Durskiego, czy przedwojennych prac Kota i zesłolu czasopisma „Reformacja w Polsce”. Ruch arikański był społecz-

nie najradkalniejszym z polskich ruchów reformacyjnych. Wiemy jak wiele przyczyniło się na ograniczoną polskiego ruchu reformacyjnego w jego walce z główną podstawą średniowiecznego porządku społecznego i politycznego Kościołem na progu czasów nowożytnych w Polsce. Nie było u nas tego nasilenia walki społecznej pod maską religijną, której terenem stały się choćby Czechy, a zwłaszcza Niemcy Lutra, Melanchtona, Münzera, rycerza von Sickingen. Ruch arikański był czymś wyjątkowym i bodaj równie tragicznym jak reformacja Münzera. Ruch arikański w wielu swych postulatach wyrażał dążenia niezróżnicowanej wówczas plebejskiej masy, bazy społecznej, która była całkowicie niedojrzała do historycznego urzeczywistnienia samodzielnego dążenia społecznego. Toteż piękny radykalizm arikański kończy się klęską, prześladowaniami, wygnaniem.

Na tej drodze walki i potem okrutnej dołu prześladowanych towarzyszy arianom poezja, literatura, myśl naukowa, społeczna i polemiczna. To bogate życie umysłowe — a zwłaszcza bogata poezja obozu radykalnych reformatorów jest osobliwością naszej kultury XVII wieku. Rozwija się ta poezja walki przeciw dobie nasilenia kontrreformacji katolickiej, realizacji politycznej i ideowej.

Myśl humanistyczna, nowatorska, zrywająca więzy osiada w twórczości arikańskiej jeden ze swoich tragicznych szczytów na miarę kultury światowej. Zdumiewa odporność duchowa tych niepospolitych ludzi tak wiernych wolnym, humanistycznym ideałom w dobie ponurego nawrotu zacofanej, wręcz człowiekowi ideologii, w warunkach trudnego zmagania się i wręcz okrutnych prześladowań.

Tragizm i bohaterstwo tej wysokiej wierności pokazuje ostatni dział omawianej antologii:

„Rozkazano synowi matkę, że źle wierzy,  
Związały przywieść na sąd katu do oberży;  
Inaczej sam ście musi. Użalwiy syna,  
Odmienia matka wiarę, zaprzawiy Soeyna”

pisze Potocki. Lecz poza okrucieństwem fanatyzmu religijnego — jest bezwzględny egoizm klasowy, walka nie o dogmaty — a o przewagę ekonomiczną. Toteż Potocki kontynuuje:

„I to mu nie pomogło; żeby zdrowie zbawić,  
Na okup, jedną mławszy, musiał wieść  
zastawić”.

Proces ucłowieczenia jednostki — to proces aktywizacji bojownika o postępowość swego czasu. Miara bogactwa indywidualności są — jak mówił Marks — jej realne związki z otaczającą rzeczywistością.

Te prawdy trzeba sobie przypomnieć przystępując do analizy poezji arikańskiej. Historycy wielokrotnie wyjaśniali dlaczego problematyka dołu i walki o postępowość w dobie reformacji była problematyką religijną, czy też lepiej dlaczego ideologiczny wyraz konkretnej społecznej problematyki miał charakter religijny. Ze względu na tę osobliwość życia tamtych czasów liryka arikańska jest przede wszystkim liryką religijną. I dobrze się stało, iż antologia arikańska ukazała się w tymże roku, kiedy katolicy historycy literatury tyle fałszywych wyrazów uznania powiedzieli o pustej, sentymentalnej, kruchowej, do gruntu bezmyślnej i ubogiej duchem liryce religijnej katolickiej XVIII w. (por. np. Borowy o Benistawskiej). Zestawienie tamtych spóźnionych wierszy, zacofanej prowincjuski z poezją arikańską mówi do wódnie czym różni się wielka liryka religijna od rymowanej dewocji. Przeczytajmy: Zbigniew Morsztyn.

Emblemma 21.

GRZESZNIK PŁACZE  
NA SWOJE NIEPRAWOŚCI

Napis. I któż mi to da, żeby oczy moje obróciły się w źródła wod.

Jerem. 9. 5.

I któż mi to da, żeby oczy moje,  
Oplakujące wszystkie przeszłe złości,  
Obróciły się w obfite źródła.  
I omyle mi od mych n'prawości.  
O Panie Jezus! wszak to dzieło Twoje  
Pomoc zmasanej duszy do czys'ociei.  
Racz ją sam omyle w tej Nieb'eskiej łaźni,  
Żeby tak uszła nieskończonej kaźni.

Ty, który sprawić możesz, żeby z skały  
I z twardych opok strumienie przejrzyste  
Wód kryształow'ych hojnie wynikały,  
Spraw te przez Imię twoje wiekuiste,  
Żeby się serca kamienne padały,  
I żeby lały łez potoki czyste  
Płacząc na grzechy, żeby me żrenice  
Rozplynęły się w stonach wod krynicie.

Lecz o wielkości tej liryki, o głębi i ucłowieczeniu przeżyć religijnych decyduje nie tylko poetyckie piękno wyrazu. Pewno — zdanie „żeby się serca kamienne padały i żeby lały łez potoki czyste...” ma siłę wyrazu i prostotę bodaj miary liryki łożańskich. Ale istotnie arikański świat uczuć i przeżyć, arikańską poezję religijną czyni wielką poezją jej bogactwo związków emocjonalnych ze światem i człowiekiem. Ta poezja walczy np. ustami Otwinowskiego z uroszczeniami Watykanu, boryka się z dogmatem nieomylności papieskiej, który jednego człowieka wyposaża w atrybuty boskie, przeto poniża godność rozumu ludzkiego i prawdziwej, twórczej i dumnej pokory ludzkiej myśli.

„Znajomość Wolej Bożej kluczem Pan mianuje,  
który sobie Rzymski pan hardzie przypisuje”.

Wiemy, że ta rzekoma znajomość „Woli Bożej Rzymskiego pana” stała się narzędziem tyranii i prześladowań społecznych, była wrogiem postępu — sojusznikiem reakcji i sankcjonowała swoje okrucieństwa dumnie „wołą Bożą”.

Poezja arikańska walczy o srogą konsekwencję wysokich ideałów religijnych, bije w oportunistów mnichów, obłudę kalwińskich kupców.

„Przebóg, kędz'ż to naszym podzięją się mniszcy?  
Wdzy o dobrych uczynkach z gorliwością  
srogą  
Uczą? Cóż, kiedy sami czynić ich n'e mogą.

Karmią drudzy ubogich, lecz że z cudzej  
skrzynki,  
Nie wiem, pójdzie Ci między dobre to  
uczynki”

pisze Potocki. Religia dla tych poetów — to nie rymowane litanie i antyfony — to sprawa życia: Potocki

## O PRAWYM CHRYSZTIANIZMIE

Sąsiad, ale pan,\* lekce równego szlachcica.  
Ważąc, a widząc, że mu zrodziła pszenica.  
Prawa z lewem nie bojąc, fantazyja dumna,  
Każe jej sto kóp w noccy do swego zwięzić

Cichy tamten, spokojny, człek skromny i stary.  
Tym wzgardziwszy, że nie był katolickiej  
wiary.  
Wstawszy rano gospodarz, chcąc też wozić  
kopy,

Już je widzi na wozach, że spadły snopy,  
Bo z pośpiechem kradzione. Jeśli wam nie  
zbyte —  
Zawoła na złodzieję — pobiera je i te;  
Już, co mu należało, wziął pleban w wytyczy.  
Pyta pan: co za szczęście swej mielim  
zdobyczy.

Bo dla gwałtu i sładzy byli, i dragoni;  
Ze nie było żadnego, nie tylko nie broni,  
Ale sam snopy, które zwykły z wozu spadać,  
Kazał gospodarz zbierać i lepiej układać.  
Sława nam ziego nie rzeki; n'e świadczy, nie  
grozi.  
Ostatek do stodoly swojej dzisiaj zwozi.  
Zdumiał wprzód, potym skruszał tak wielką  
pokora,  
Czym prędzej każe nazad wracać im z tą  
torą.

Ten piękny poetycko wiersz — jest wyrazem naiwnego radykalizmu. Jest w nim reszta i polemiczna ironia, która każe widzieć na ile nie na serio, na ile przez przekorę poeta obłudzie jezuitkiej i brutalnej chciwości możnych przeciwstawiał te ostateczne konsekwencje religijnych ideałów.

Lecz poezja arikańska była przede wszystkim w groźne niesorawiedliwości feudalizmu: (W. Potocki. Raj z światem).

Dla n'eposuszeństw' Bóg cieka z raju żenie,  
Żeby z plugu i z brony miał swe pożywienie,  
Żeby żył w pocie czela, ta grzechu zapłata.  
Prawdziwie bym ją za raj nie frymarczył

świata,  
Gdzie tylko jabłka, gruszki, sliwy jedli z sadu,  
Ustawne bez w'ezerze wety i obladu.  
Bo niech kto na szlacheckie pojzry dziś

bankieły,  
Przy wszelkich zwierzym mięsie, też frukty,  
też wety.  
Ja warceby albo gram karty na pokoju,  
A chłopek na mnie robi do trzeciego znoju,  
Robi z dziećmi i z żoną przymierając głodu,  
Rebi od wschodu stońca aż do zachodu,  
Rebi zbity; leż pan'e, ni-cz się nie starał.  
A któż by głupi za świat' frymarczył się na  
raj?

Gdyby mi jeszcze niecho chłop wyrobił potem,  
Wykupilibym się z raju jako z gater złotem.

Arianie walczą i z przemocą ekonomiczną kościółca. „Cóż będzie dalej?” pyta poeta — „Jeśli mnie kto spyta,

W księżą się rzecz obróci samą pospolita”.

I dalej do księży:

„Kto, pytam, postanowił, kto sędzią obierał,  
Żebyś nade mną o mój snop władzę wywieriał?  
P'smo, gdy nas królewskim nazwa kapłan-  
stwem!  
Prawda, ale nie ziemskim, dobrodzie, pań-  
stwem”.

Głośno odzywa się w tej poezji wielkie hasło równości ozywające wszystkie ruchy plebejskie dawnych czasów: (Potocki W. Natura wszystkim jednaka).

Gwałtem nas chce natura wszędy zrownać,  
amy  
Gwałtem się między sobą różnić napieramy.  
Równo się krol poczyna, równo z km'ciem  
rodzi,  
Tak się boi tak smuci, tak stęka, tak schodzi,  
Nie poznasz zajątrawszy w grob, a z potażów  
a z grochu,  
Tak natura w kilka lat porowna je, prochu,  
Przecież że barzej pan niż chłop śmierdzi: ta  
przyczyna,  
Gdy rychlej chociaż zgnije, niż zwiędnie  
jarzyna,  
Nie poznasz, chociaż smaczniej pan jada nie  
równo  
Niżeli chłop, co pańskie, a co chłopskie gówno.  
A czym się pan na świecie przed chłopkiem  
przechwalał,  
Ledwie nie wszystko będzie po śmierci  
wypalał;  
Ledwie nie wszystkie dary tu fortuny ślepi  
Grzechem są a szatańskie na wieczną śmierć  
lepny.

W wierszu tym słyhać, tak wyraźną dla dzisiejszego czytelnika, pasję. To pasja — nienawiść przesądu przywołała te ostateczne argumenty, w szlachetnym gniewie zrodzone prostactkie i wymowne słowa. Góruje artystycznie wśród tych poetów napewno Potocki. Ale bliski mu jest Zbigniew Morsztyn, nie wiele ustępuje Erazm Otwinowski.

Posłuchajmy jak walczy — ten przedstawiciel arikańskiego wczesnego racjonalizmu i krytycyzmu z religianckim przesądem: Erazm Otwinowski:

O ZŁEM KOMINIE, CO SIĘ W NIEM  
ZAGORZAŁO, A TEN CHCIAŁ KONIE-  
CZNIE CHŁOP INDULTEM ZAGASIĆ.

A wiecież, wtenczas co się było stało  
W'e złem kominie, że się zagorzało?  
Panowie idąc przez wieś obaczyli,  
Przez sieć do izby prętko się rzucili.  
Gospodarzowi w tem domu znać dali,  
Aby szedł gasić, głosem nań wołali.  
On chłop jako pień przedsię sobie s'edzał:  
„Niechaj się gore”, tak jem odpowiedział.  
A gdy z fukiem z izby wyc'skali,  
Przez sieć bezbezpiecz, plnie go pytali.  
Rzekł: „Zaście czora wszyscy nie słuchali,  
K'iedy tu głosem on indult czytali,  
Który od oca-papieża się jawił?  
A ten nas prawie na nogi postawił,  
Bo przezeń wszyscy mamy być zbawieni  
I od zlych przygód bywamy strzeżeni.  
Przeło się ja też i ognia nie boję,  
Bezbezpiecznie sobie w swej chalup'e stoję.  
A iż ten indult u tych panów baze,  
Nie się nie lekam, śmiele na to skaczę.  
Który s'e boja, niechajże ci gaszą,  
Mnieć pewnie z izby niełatwie wystraszają.”  
Jakoż już trudno miało być bez strachu,  
Bowiem się iskry spalyły na dachu.  
Sam'ż panowie tego nabroili,  
Ze chłopu indult ten nazbyt schwalili.  
Przeło się śpiesznie rzucił do wody  
Obarając się w dom'ech więzję szkody.  
Chłopu się wedle wiary jego stało,  
Ze w tem kominie wnet gorzeć przestało.  
Ale będą li więcej chłopki szal'e,  
Mogą komu wieś albo m'asto spalić.

Taka kapiel intelektualna w sarmackiej i mniszey Polsce to było wiele.

To zaś co najbardziej z artystycznego punktu widzenia zachwycwa w poezji arikańskiej — to bliskość ich literackiego języka do języka mówionego, do mowy potocznej. Stąd ładunek emocjonalny tych wierszy, dowcip i bystrość replik, realizm w parterowaniu na świat, świadectwo niespokojnej ciekawości tego świata. (W. Potocki. Dzieściny).

Wyganiając od jabłek Adama na ziola,  
Z raju na świat, rzeki mu Bog: W pocie  
twego czola  
Będiesz pożywał chleba. Ach, biednież go  
poca,  
Który, o ich własny snop, ludzje po wsiach  
kłoca.  
Cóż, wyjawszy ubogich plebanów niewiele,  
Zaden czola dla chleba nie poel w kościele.  
Od wieku, rzeczesz, księża dziesięćni biera,  
Starego to zakonu było manjera,

<sup>1)</sup> Jan Dürr-Durski, Arianie Polscy w świetle własnej poezji. Zarys ideologii i wybór wierszy PZWS Warszawa 1948, str. 319. Cena zł 300, nakład 10 000 egzemplarzy.



Kmin, hanysz, miętka, ale pszenicę i żyta  
 Żeby miał ksiądz wytykać, nikt się nie  
 doczyta  
 To jest Boża, żeby ksiądz z ołtarza żył, wola,  
 Rzecz kto. Odpowiadam: Z ołtarza, nie z pola.  
 A dziś nie wolno chłopu, aże bola uszy,  
 Wziąć z pola krwawej swojej prace, choć  
 wysuszy,  
 Pokj jej ksiądz nie wytłnie, poki nie przeliczy  
 I częstokroć w gnoj pojedzie dla owej wytyczy.  
 Często, dla kasze dzieciom i kawalka chleba.  
 Własną swoje pracm kraść oraczowi trzeba.  
 Po staremu (cnottliwych nie kładą w to księży)  
 Wziąwszy decymę, ślub, krzest i grob mu  
 spienięży.  
 Pokoj mają cnotliwi od takiej przywary,  
 W tym tylko winni, że zlych puszczają bez  
 kary.

Proszę jeszcze raz posmakować tę replikę — jakby z ostrej dyskusji na chłopskim wiecu:

„To jest Boża, żeby ksiądz z ołtarza żył, wola,  
 Rzecz kto. Odpowiadam: Z ołtarza, nie z pola“...

A od takich prawdziwych obrazów jak ten gnijącego zboża, które czeka na poborcę dziesięciny roi się poezja arikańska. Jakaż ciekawość świata, jaka kapitalna jego znajomość, jaka wiedza o istotnych składnikach doli ludzkiej! A znów Potockiego fragment z wiersza „Zbytki polskie“:

„Żeby w drodze karety, w domu drzwi barwiani  
 Strzegli z zapalonymi lontami dragani,  
 O tym szlachta, panowie, o tym myślą księża,  
 Choć się co rok w granicach swych ojczyzna zwęza,  
 Choć na borg umierają żołnierze niepłatni,  
 Choć na oczy widzą jej peryjod ostatni.  
 Że te wszystkie ich pompy, wszystkie ich splendece  
 Pogasną, jako w wodzie utopione świece.

Ileż pasji i celności słowa w tych trzech rosnąco ustopniowanych zdaniach przyzwolonych zaczynających się od „choć“? Jakże pięknie to porównanie z pogaszonymi świecami!

Co tu gadać, miarą artystycznej wartości liryki arikańskiej jest sam fakt, iż można — jak to zrobił autor antologii — ułożyć ich wiersze tak, by odtworzyć arikańską ideologię, najważniejsze spory, ujrzyć świat, w którym żyli, dostrzec rozdzierające go sprzeczności społeczne, zrozumieć ludzki sens arikańskiej walki i dażeń.

Wzruszająca poezja ludzi pełnych, którzy umieli używać pięknego polskiego słowa w obronie prostego, pokrzywdzonego człowieka. Antologia arikańska stanowi niepospolitą poetycką książkę właśnie naszych czasów

Stefan Żółkiewski

BERTOLD KUBA

Przełożył ADOLF SOWIŃSKI

# ZAWRZYJCIE POKÓJ

Ukrywający się pod pseudonimem Bertold Kuba proletariacki poeta niemiecki miał w chwili objęcia władzy przez Hitlera (r. 1933) zaledwie lat osiemnaście. Mimo to nie podzielił losu większości swych rówieśników i nie poddał się szalonej ideologii politycznej swojego czasu. Od razu wybrał drogę ideologicznego i politycznego oporu, chociaż dopiero co wyrósł z lat dziecińczych. Obrazem krytyki i potępienia fałszywych i zabójczych pojęć społecznych jest „Gedicht vom Menschen“ („Poemat o człowieku“), utwór cykliczny, niedawno opublikowany przez Kubę w Berlinie. Dostrzegamy tu jak gdyby drugie oblicze tego właśnie pokolenia niemieckiego, o którym może niesłusznie mówi się, że zostało ukształtowane wyłącznie przez faszyzm.

Z „Poematu o człowieku“ drukujemy na tym miejscu kilka fragmentów noszącego tytuł „Zawrzyjcie pokój“ cyklu końcowego. Obszerny wybór wierszy z całego tomu ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka“.

A. S.

Bracia!  
 Był maj tego roku —  
 Gardła przearł  
 dym —  
 Lec dopalił się  
 ogień wojny  
 i ognie szaleństwa z nim.

Zawrzyjcie pokój —  
 w imieniu młota i motyki i szpadła —  
 wy, zbójcy Europy, zanieście  
 wasze nędzne lachmany  
 w rodzinne grona.  
 Zawrzyjcie pokój —  
 proletariusze — towarzysze, a chociaż byliście  
 żołnierzami!  
 wojna skończona!

Wojna skończona —  
 Nie zapadła się ziemia —  
 Noce od gwiazd są jasne  
 jak dni.

Wiatr odleciał i obmył się  
 na dalekich wierzchołkach górskich.  
 Powrócił taki, jak gdyby nigdy nie był  
 przesycony śmiercią i zgulizną.

Zawrzyjcie pokój —  
 Po wszystkich krajach  
 wiatr rozniósł popioły, złą sławę  
 i dym i wieść o hańbie,  
 a także łmie Niemiec.

Narody pytają...

Obejm nie zdamy  
 panom sprawozdania,  
 ksiądzem pracy,  
 królom na przemyśle —  
 niech sami czyszczą  
 swe śmieczne atlasy.  
 Lec ludom, które  
 chcą znać prawdę ściśle,  
 odpowiadamy bez szemrania,  
 nie szczędząc siebie.

Wiele się stało — wiele.  
 Wina przerażliwa!  
 Umarli mleczą,  
 a ich milczenie wznosi  
 do życia gniew.  
 Pojmijcie całą potworność  
 tej winy i uświadomcie sobie:  
 żaden was Bóg  
 z grzechu nie obmywa.

Niemcy zapłacą!  
 Będą płacić długot!

To odpłacimy, pociemy  
 siegali — i cośmy skradli...  
 A tu i ówdzie ludzie, w gniew popadli,  
 pomszczą się za nas za winy.  
 A tu i ówdzie  
 jedną albo drugą  
 winę potracą.  
 Jednakże tamte Niemcy będą obciążone  
 winą nieustającą.

Wspomnijcie — wspomnijcie —  
 wspomnijcie śmierci młyn.  
 Winę Niemiec ukażcie.  
 Niech się odsoni to haniebne znamię,  
 Polóżcie palce na piętnach zarazy,  
 zanim się z kwarantanny zaraza wylamie  
 i zmusicie świat, by porównał swe własne  
 oblicze

z waszym obliczem, wyciągał stąd wnioski,  
 aż znikną ślady,  
 głośno wołające  
 o swe zniszczenie  
 i zwiastujące koniec  
 tamtej ludzkości.

Zawrzyjcie pokój!  
 Oczyście się z dżum,  
 z waszej podłości.  
 Można uleczyć ją,  
 lecz jej nie można puścić w zapomnienie.

W imieniu kolysek — zawrzyjcie pokój,  
 zwyciężeni i zwycięzcy.  
 Koniec wojny jest  
 bitwą przegrana.  
 Wszystkie wojny są przegranymi  
 bitwami ludzkości.

I niepewnie jak pijacy  
 po nocy przepitej

stoją narody o poranku. —  
 Nie idą — chwileją się! —  
 I nie znajdują spokoju we śnie  
 i nie znajdują odpoczynku ani jako zwycięzcy,  
 ani jako zwyciężeni,  
 ani w sercu, ani  
 w myślach  
 i zataczają się jak pijacy  
 ku nowym nocom hulank.

Zawrzyjcie pokój — przegrani gracze wojny —  
 sąsiedzi, byli żołnierze,  
 mieszczanie — chłop — wszyscy!  
 Zawrzyjcie pokój  
 ze swoim czasem, ze światem dzisiejszym,  
 z roślinami i maszynami  
 i z bydłem w oborach.

Zawrzyjcie pokój!  
 Przybył nieprzyjaciel i ujął waszym dnio  
 niezmierną grozy. I waszym nocom  
 ujął niezmiernego przerażenia.  
 Zawrzyjcie pokój — panowie na krajach,  
 owdowiłe kobiety w żalobie —  
 Nadszedł czas.

Zawrzyjcie pokój w imieniu serca,  
 w imieniu mózgu — który myśli.  
 Człowiek jest tylko człowiekiem.  
 Ciało to jego pan najwyższy.  
 Słuchajcie ciała, ciało słuźcie.  
 Od lat Adama to jedyny dar.  
 Zawrzyjcie pokój w imieniu  
 mężczyzny w mężczyźnie,  
 w imieniu kobiety w kobiecie.  
 Zawrzyjcie pokój w imieniu człowieka  
 w człowieku.

Niechaj nikt nie zwleka.  
 by w naszym życiu zaprowadzić ład.  
 Przeklecie niech będzie „dlaczego?“  
 Ratunku pragnie owo „coś“,  
 owo „jak?“ Zawrzyjcie pokój w imieniu  
 serca i ludzkiej powłoki, w imieniu  
 powierzchni i wnętrza.  
 Zawrzyjcie pokój w imieniu człowieka.  
 W imieniu harmonii.

Chodzi o chleb —  
 o ukochany, dobry chleba kawał,  
 chleba kawałek przeklety.  
 Drżą kontynenty,  
 Duszą się między sobą części świata — głód  
 chwyta za biec.  
 Chodzi o chleb, chodzi — o ukochaną  
 cząsteczkę życia.

Zawrzyjcie pokój z głodem,  
 zwyciężeni i zwycięzcy.  
 Ta dobrze nam służyła,  
 kiedyśmy jeszcze byli zwierzętami.  
 Ty „słaby“ człowiecze,  
 mierz swoją siłę niebezpieczeństwami,  
 a to, co ci  
 jest wrogie, mierz  
 według wrogów, których dłoń twą poniżyła.

## KOMITET UPOWSZECHNIENIA KSIĄŻKI

W numerze 4 z dnia 30 stycznia b. r. naszego pisma pisaliśmy już o Komitecie Upopowszechnienia Książki, podkreślając pozytywne strony zarówno samego założenia tego wydawnictwa jak i odnośnej akcji.

W ramach poczynań, związanych z upowszechnieniem kultury, KUK ma wszelkie dane po temu, by stał się instytucją organizującą popularyzację dobrej literatury. Zadaniem jego jest dostarczenie dobrej książki po możliwie najniższej cenie masom robotniczym i chłopskim.

W historii księgarstwa polskiego cena wydawnictw KUK-u jest prawdziwą rewelacją, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, iż wydawnictwa te mają ten sam format i tę samą szatę graficzną, co przeznaczone do normalnej sprzedaży księgarskiej książki w cenie kilkakrotnie wyższej. Cena jednego tomu wydawnictw KUK-u w prenumeracie wynosi 100 zł (nie dolicza się kosztów przesyłki dla prenumeratorów zamiejscowych), przy czym istnieje tylko dwa warunki do spełnienia: prenumerator musi zamówić co najmniej sześć tomów i zobowiązuje się do wykupienia ich w ciągu najdalej sześciu miesięcy. Jeżeli ktoś chce zakupić mniej niż sześć tomów, może je nabyć doraznie bez żadnych zobowiązań we wszystkich sklepach Państwowych Zakładów Wydawniczych Szkolnych w cenie 125 — zł za tom. Trudno chyba o dogodniejsze warunki.

Działalność KUK-u zakrojona jest na bar-

dzo szeroką skalę. Oprócz bowiem dotychczasowej akcji popularyzowania wydawnictw współczesnych instytucji wydawniczych, KUK postawił sobie śmiało postulaty skoordynowania dotychczasowych wysiłków, kierowania całą akcją upowszechnienia książki i wiążącego się z tym opracowania ogólnopolskiego planu wydawniczego oraz warunków jego realizacji.

W pierwszym jednak etapie swej działalności ta ze wszech miar pożądana instytucja napotyka na wiele trudności i oporów ze strony właśnie tych ludzi, dla których została stworzona. Kilka cyfr statystycznych, zebranych z terenu województwa łódzkiego, pozwolą nam zorientować się, że zamierzona akcja została w realizacji chwilowo zepchnięta z właściwej drogi. Oto pierwsze miesięczne zestawienie wyników tej akcji notuje na terenie województwa zaledwie ogółem 752 prenumeratorów, z czego przypada na robotników i rzemieślników po 7 proc. na chłopów — 2 proc., na wolne zawody — 4 proc., na wojsko i milicję — 1 proc., na instytucje i związki zawodowe — 7 proc., na pracowników umysłowych — 43 proc. i na uczącą się młodzież — 29 proc. Nowego czytelnika więc, o którego właśnie przede wszystkim chodzi — robotnika i chłopca — wydawnictwa KUK-u dotąd nie zdobyły.

Z podanej niewielkiej liczby prenumeratorów 80 proc. przypada na samą Łódź, a je-

dynie 20 proc. na teren województwa łódzkiego.

Przyczyną tego niezadowalającego stanu rzeczy może być po części brak zaufania do nowej, nie mającej dotąd precedensu w historii księgarstwa, akcji. Te przyczynę zresztą wyeliminuje z pewnością sama praktyka.

Wydaje się jednak, że duże zadanie do spełnienia w zakresie popularyzacji wydawnictw KUK-u mają związki zawodowe, partie polityczne oraz czynnik bezpośrednio kierujące w ramach istniejącego aparatu administracyjnego kulturą w terenie i za nią odpowiedzialne. Na nich przede wszystkim spoczywa obowiązek popierania i propagowania tej tak bardzo pożytecznej akcji.

Może by też było dobrze, aby KUK, trzymając się nadal swej linii wydawania przede wszystkim dzieł literatury klasycznej XVIII i XIX wieku, zaopatrywał poszczególne pozycje w popularne komentarze, ułatwiające nieprzygotowanemu czytelnikowi orientowanie się wśród poszczególnych autorów i ksiązek. Byłoby to tym bardziej celowe, że wśród pierwszej serii wydawnictw spotykamy również parę dzieł współczesnych, niewątpliwie dobrych, ale pomieszanym z klasykami. Chodziłoby więc o komentarze pozwalające surowemu odbiorcy, dla którego wydawnictwa te są przeznaczone, umiejscowić je w czasie i w ramach ogólnych prądów kulturalnych oraz dobrać interesujące go zagadnienia.

Wydawnictwo Zakładu Narodowego  
 im. Ossolińskich  
 Wrocław, plac Solny Nr. 3  
**OSTATNIE NOWOŚCI:**

WYBÓR  
 PISARZY LUDOWYCH  
 OPRACOWAŁ  
 STANISŁAW PIGON  
 CZĘŚĆ II  
 POECI I GAWĘDZIARZE  
 Stron 320  
 Cena zł 640.—

ŚLĄSK  
 PODRÓŻ MALOWNICZA  
 W 21 PIĘŚNIACH  
 WYŚPIEWAŁ  
 B. Z. STĘCZYŃSKI  
 Stron XXXV + 212  
 Rycin 31

MIECZYSLAW OPALEK  
 DRZEWORYT  
 W CZASOPISMACH POLSKICH  
 XIX STULECIA  
 Stron 112  
 Rycin 20

ST. JODŁOWSKI I W. TASZYCKI  
 SZCZONNICEK ORTOGRAFICZNY  
 Z ZASADAMI PISOWNI  
 DLA NIŻSZYCH KLAS  
 SZKOŁY PODSTAWOWEJ  
 Wyd. trzecie  
 Stron 191  
 Cena zł 160.—



STANISŁAW DYGAT

## ZAGADNIENIE MORALNE

Rafałowi Prodzie

Leon zbudził się wcześniej i pomyślał: „to się stanie dziś, dziś od dwunastej będę już chyba zupełnie jakby kimś innym. Zastanowił się chwilę, co właściwie oznacza, że będzie jakby kimś innym, czy w ogóle coś znaczy i czy przypadkiem myśl taka nie jest po prostu zbyteczna i głupia.

Potem pomyślał jeszcze: „będę kimś innym, albo jak zawałę sprawę, w ogóle przestanę być”. Nagle zasepił się nieco i zaczął gładzić się bezmyślnie po nosie. Mela westchnęła przez sen. Popatrzył na nią. Włosy rozrzucone na poduszce, wyglądały jak wysypany z worka piasek.

Chciał ją pogłodzić po nagim ramieniu, ale zrobił tylko ten ruch w powietrzu, a potem delikatnie trącił:

— Mela — powiedział cicho.

Mela coś mruknęła.

— Mela, powiedz mi... ja się zastanawiam... cholernie chce się człowiekowi być takim absolutnie uczciwym, a to nie jest łatwo. Bo jeżeli, powiedzmy, ja mam dziś zabić szpicla i denuncjatora, to chciałbym tak zupełnie czuć, że zabijam go dla powszechnego dobra, a ja widzisz mam kompleksy żydowskie i ja... jakby to powiedzieć...

— Aha — mruknęła Mela.

— Co, aha... — Leon wpatrywał się w sufit i intensywnie o czymś myślał.

— Nic, aha. Powiedziałaś aha... znaczy, potwierdzam, co mówisz... poza tym, słuchaj, mnie się strasznie chce spać, tak jeszcze wcześniej.

Leon wciąż patrzył w sufit, miał zmarszczone czoło.

— Mówiłaś coś? — spytał.

— Aha — mruknęła Mela.

— Bo widzisz, ja nie chcę zabić tego szpicla dlatego... to jest zabijając go nie chcę myśleć o tym, że gnębiam i prześladowam Żydów i że jako gnębiony i prześladowany Żyd w jakiś sposób ja... rozumiesz... odgrywam się... no rozumiesz? To nie jest łatwo tak jasno wytłumaczyć...

Mela zerwała się gwałtownie, wsparła łokciem o brzoje i patrzyła trochę nieprzytomnie, jakby dopiero właśnie w tej chwili się zbudziła.

— Słuchaj — powiedziała — nie znoszę ludzi, którzy problemy etyczne rozstrzygają o siódmej rano i to w niedzielę, a przy tym budzą rozespanych bliźnich. A w ogóle o co ci chodzi? Od razu widać, że niedawno wstąpiłeś do partii...

Opadła z westchnieniem na poduszkę, zamknęła oczy, potem otworzyła tylko jedno oko i patrzyła nim nieprzytomnie na karmelkowy „landszaft” wiszący nad umywalką, „landszaft” przedstawiający dwie sarenki przed chatką, w której płonie światło.

— O, właśnie... i to też... Ja nie chcę mieć takiego uczucia... właściwie nie mam go, ale tak czasem nadchodzi człowieka podejrzenie, że może podświadomie, że może w głębi ducha, że może inni tak o mnie myślą... rozumiesz... chodzi o to, że ja wstąpiłem do partii, bo ja wierzę w to, o co partia walczy, wierzę naprawdę i chcę walczyć, a nie dlatego, że jestem ścigany Żydem... no, rozumiesz... ja nie chcę, żeby choć cokolwiek z tego było...

— Ten „landszaft” trzeba zdjąć i co innego powiesić — mruknęła Mela i zamknęła oko.

Leon westchnął.

— Zabiłaś kiedy człowieka? — spytał.

— Człowieka? Nie wiem. Pewnie wielu — mówiła niewyraźnie i bełkotliwie. Wtuliła usta w poduszkę. — Ciskałam granaty, kiedy wywalaliśmy pociągi. Słyszałam jęki rannych i myślałam: „trudno”. Słuchaj, błagam cię, pośpijmy jeszcze z godzinkę, mnie się tak strasznie chce spać.

Leon milczał. Skubał sobie dolną warzę i szybko mrugał oczami.

— Mela — powiedział cicho.

— No? — jęknęła Mela.

— Ja ci powiem... my musimy się rozstać... bo to z nami też jest tak... może zresztą nie jest, ale jakoś tak, skąd można wiedzieć... że ty... ja wcale nie wiem, czy ty mnie kochasz naprawdę, czy tylko to... rozumiesz, opiekujesz się prześladowanym Żydem Litość i tego... obowiązek i tego i tak w ogóle...

Mela raptownie się poderwała, wsparła rękami o materac, potrząsnęła włosami i zawołała:

— O Boże! Zwariować z tym człowiekiem! Przestań się czepiać! O co ci chodzi? Jeżeli nie dasz mi przespać się choć z pięć minut, sama polecę na komisariat i zadenuncjuję cię.

Wierchem otwartej dłoni uderzyła go w ciemię. Pomyślał sobie, że choć z pewnością zrobiła to w życzliwych zamiarach, to jednak uderzyła trochę za mocno.

— Inteligent zatracony! Czegoż ty, naprawdę? Pierwszy raz dostał od partii zadanie, to strach go oblatuje i inteligenckie głodne kawałki lażą mu po głowie. Polecę zaraz do „Felka”, powiem mu, że się spietrałeś i że się wycofujesz. Dadzą ci inną, lepszą robotę. Kartofle obierać, albo co...

Leon pocierał sobie ciemię.

— Zatracony inteligent... oczywiście. Całe życie będę od was słyszał, że jestem zatracony inteligent. Dla jednego, parszywy Żyd, dla drugich zatracony inteligent... A mnie, przecież tylko właśnie o to... o nic więcej, tylko o to, że chcę tak jak wy, po naszymu, po naszymu. Ja tego szpicla chcę rąbnąć, tak uczciwie i mieć to poczucie, że wypełniłem polecenie partii, usuwam szkodnika, a żadnych tam takich obok takich tam osobistych...

— Kochanie — powiedziała ciepło Mela — wszystkiego powoli się nauczysz. — Nachyliła się nad nim i pocałowała go w usta.

Kiedy Leon obudził się, było jasno i słonecznie, świeże powietrze wpływało wraz ze słońcem przez otwarte okno.

Mela krzątała się po pokoju w szlafroku. Szlafrok był bardzo brzydki, nazbyt jaskrawy. Rozległo się pukanie, dosyć gwałtowne. Mela wyszła do korytarza. Leon posłyszał męskie, nieprzyjemne głosy, zabiło mu lekko serce, nawykło do skurczów niepokoju.

Weszła Mela. Twarz miała bardzo poważną, zagryzła usta, ale Leon od razu spostrzegł, że nie jest to powaga troski, ani niepokoju, ale roztropności i rozwagi. Zaraz za nią weszło do pokoju dwu granatowych policjantów. Zrobiło mu się najpierw bardzo zimno, zaraz potem bardzo gorąco, przez moment przestało bić mu serce i pokój zawirował przed oczami. Ułamkiem sekundy przeliznął się po twarzy Mela. Była wciąż spokojna i poważna, zdawało mu się, że ledwie dostrzegalnie mrugnęła okiem, jakby chciała mu zaszyfrować: „Teraz, bracie, musisz się dobrze trzymać!”

Podniósł się na łóżku i zmarszczył ze zdziwieniem czoło.

Policjanci stanęli na środku pokoju. Jeden był wysoki i tegi, twarz miał rumianą i okrągłą, w geście jakaś pewność siebie, trochę może sztuczna, jakby tą pewnością chciał zagłuszyć niejasne niepokoje. Drugi mały, starszy już i siwiejący, podobny był do myszy. Sprawiał dość wyraźne wrażenie speszzonego i wyglądał jakby czym prędzej chciał czmychnąć.



— Pan się ubierzcie i pójdzcie z nami — powiedział wysoki głosem drewnianym, siłując się na urzędowy ton.

— Tak — dodał mały drżąc i prawie szeptem — ubierzcie się pan i pójdzcie z nami.

Stali sztywno, patrząc przed siebie nieruchomo, tylko mały trząsał nerwowo lewą nogą.

Leon usiłował przez chwilę spojrzeć im w oczy. Udawał, że niedostrzegają tego manewru, tylko wysoki skrzywił usta, a mały zaczął kręcić guzik od munduru.

Mela powiedziała: — No, słyszysz? Ubierz się i idź z nimi. Wyjaśnij o co chodzi i wracaj. Ja nie mam czasu na żadne hece.

Leon opadł na poduszkę i złożył ręce pod głowę:

— Ani mi się śni — powiedział. — Kochanie, podaj mi papierosy. Co to ma znaczyć? Jestem obywatелеm Generalnej Guberni i cieszę się ochroną prawa. Nie życzę sobie być przez kogokolwiek napastowanym i to w niedzielę rano, kiedy jestem zaspany.

— Pan jest Żydem — powiedział wysoki i niech pan tu nie urządza żadnych kawałów.

— Tak — dodał mały z niespodziewaną żywością — tylko bez kawałów.

Leon uniósł się z poduszki i znów przypatrywał im się.

Mały urwał sobie guzik i obracał go w rękę bezradnie.

— Przede wszystkim — powiedział Leon — panowie zdejmaj czapki. — Dzisiaj niedziela, a nie sabat.

Mały zrobił ruch w kierunku głowy, ale spojrzawszy na wysokiego, który stał niezmiennie sztywno i cofnął rękę.

— Jesteśmy na służbie — powiedział wysoki.

— To nie musi zwalniać od grzeczności — powiedziała z kąta Mela.

— A pani niech się nie wtrąca — zawołał wysoki — bo z pania też...

— Co i ja jestem Żydówką? — Mela zaśmiała się i przez chwilę kręciła głową — powariowali z tymi Żydami. Słuchaj, kochanie, ubierz się i idź z nimi, nie ma się co tutaj kłócić. Wyjaśnij sprawę na komisariacie i złoysz przeciw nim zażalenie.

— No, można by ostatecznie jakoś... zaczął cicho mały, ale wysoki złapał go za rękę. Zdjęli czapki.

Leon jakby się namyślał.

— Dobra — powiedział — zaraz się ubiorę — zrób mi przez ten czas śniadanie. — Wyskoczył z łóżka i pobiegł raźnie do umywalki.

— Wolisz jajecznicę, czy jajka na miękko? — spytała Mela.

— Jajecznicę. Z czterech jajek. Jestem cholernie głodny. I herbatę. Znudziła mi się kawa.

Zaczął się golić. Policjanci tkwili na środku pokoju jak kaktusy w doniczkach. Mieli zdecydowanie głupie miny.

— Czy kupiłaś mi nożyki do golenia? — spytał Leon.

— O, psia kość — zapomniałam.

— Oczywiście — powiedział sucho Leon. — Jeżeli sam sobie człowiek czegoś nie załatwi, to szkoda gadać.

— Czy ty musisz koniecznie znajdować co rano jakiś temat do kłótni?

— Gospodaruj jak należy, nie będzie tematów do kłótni.

— Pan się nazywa Leon Baczyński, prawda — spytał chrząknawszy lekko wysoki.

Leon przerwał golenie i popatrzył na niego ze zdziwieniem, jakby dopiero w tej chwili odkrył ich obecność.

— Prawda. A pan?

— Józef Nam... Co to pana obchodzi? Proszę pokazać dokumenty.

— Nie pokażę. Pokażę na komisariacie. — Może nie okaże się konieczne iść na komisariat — powiedział piskliwie mały i może w ogóle...

— Nie. Ja teraz właśnie chcę iść na komisariat. Wysoki wruszył ramionami, mały miał minę psiaka, któremu wetknięto nos w to co napaskudził.

Mela mieszła jajecznicę i przypatrywała się wiszącemu na ścianie „landszaftowi”.

— Trzeba zdjąć ten „landszaft” — powiedziała — jest obrzydliwy. Nie mogę patrzeć na niego. Chciałabym tu powiesić jakiś ładny obrazek, na przykład coś Matejki.

— Można. Chociaż ja za Matejką specjalnie nie przepadam. Zresztą zamiast obrazków, wolałbym kupić ci nowy szlafrok. Te kolory są równie okropne jak ten „landszaft” z sarenkami. O której mamy iść do Szpakowskich?

— Proszili na piątą. Mnie się nie chce chodzić. Tam jest zawsze strasznie nudno. — Pójdziemy jednak. Zależy mi na Szpakowskich. Podaj koszulę. Nie, nie tę. W niebieskie paski.

Mela podała Leonowi koszulę i powiedziała niby na ucho, ale tak, żeby policjanci słyszeli:

— Może ich poczęstować herbatą? Ostatecznie nie ma co do nich mieć pretensji. Spełniają tylko swój obowiązek.

— Zbyteczne — powiedział Leon — powinni się dobrze upewnić, zanim przyjdą niepokoić ludzi.

— Nie, nie — zawołała Mela — nie kładź tego krawata, nie znoszę go i zresztą nie pasuje do tej koszuli.

— A ten?

— Też nie. Do koszuli w niebieskie paski najlepiej będzie ten w grochy.

Wysoki, który cały czas stał prawie na baczność, wysunął lekko prawą nogę, mar-

ty przestał trząść nogą, ale za to zaczęła drgać mu powieka.

Leon usiadł przy stole, najpierw popatrzał wzrokiem smakosza na stół, potem raptownie na policjantów i powiedział tonem protekcyjnym:

— Jeszcze sekundkę cierpliwości. Zaraz idziemy.

— Proszę pana — zaczął wysoki i zająknął się — proszę pana — powtórzył. — Może to istotnie nie jest konieczne. Niech pan tutaj pokaże dokumenty, albo jeszcze lepiej, pani wyjdzie do drugiego pokoju i... no, nie chciałbym obrazić, tego, pan rozumie, będzie najprościej... Być może, że to jest nieporozumienie.

— Nie — powiedział Leon krótko i stanowczo. — Już drugi raz coś takiego mi się zdarza. Ja mam tego dosyć. Jakis idiota robi na mnie donosy. Muszę się dowiedzieć kto i raz z tym skończyć.

— Pański dozorca — pisał nagle mały. — Tak, pański dozorca — potwierdził wysoki.

Leon zaczął się śmiać.

— Idiota! Rozmówię się dziś z nim. Ale na co mu to, niby? — popatrzył podejrzliwie na policjantów. — Aha, rozumiem! Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością — zaśmiał się śłośniej. — No, panowie, tym razem dużo nie zarobiecie.

— Ależ my naprawdę — pisał mały. Wysoki zrobił krok naprzód.

— Proszę pana! Nie powinien nas pan zbyt winić. Dozorcę pociągniemy do odpowiedzialności, a w ogóle nasza służba jest bardzo ciężka i w ogóle ciężkie życie, ja mam w domu synka, muszę go wychować, kształcić, żona ciężko pracuje, to wszystko nie jest takie przyjemne...

— Już dobrze, dobrze... — przerwał Leon.

— To my już pójdziemy i przepraszamy za nieporozumienie, a z dozorcą to już tam my...

— Z Bogiem — powiedział Leon.

Policjanci zasalutowali, trzasnęli obcasami i wyszli. Leon i Mela milczeli. Patrzyli na siebie, ale jakby przez siebie. Leon odsunął talerz z jajecznicą. Wstał. Przeszedł się po pokoju. Usiadł na łóżku. Zaczął się śmiać trochę nerwowo.

— Byłeś wspaniały — powiedziała Mela — podziwiam cię.

— Pakuj rzeczy. Nie możemy tu zostać. Wstał, odsunął łóżko. Nachylił się, podniósł desek od podłogi i wyjął rewolwer.

— Wiesz, co kochanie? To ty przede wszystkim byłaś wspaniała. Kiedy popatrzałem na ciebie, zrozumiałem o co chodzi. Nie trzeba się martwić o siebie, tylko o sytuację. Gdybym choć przez chwilę o siebie idź, nie wytrzymałbym tego wszystkiego i zdradziłbym się. Ale ja cały czas myślałem tylko o tym, że muszę im się wymigać, bo muszę dziś wykonać zadanie.

Obejrzał rewolwer i wsadził go do kieszeni.

— To jest dobrze — mruknął — już jest wszystkim dobrze. Wesoło mi na duchu.



Mela podeszła do niego i pocałowała go. Dopiero w tym momencie błysnęło w jej oczach coś jakby troska.

— Idziesz już, kochanie?

— Idę. Potem przyjdę na Podwałę. Czekał tam na mnie... Wiesz, co ci jeszcze powiem. Tego wysokiego zrobiło mi się nagle żal... o tym synku mówił i tak w ogóle... to są okropni, zbłąkani ludzie... i wiesz, gdyby to tylko o mnie chodziło, to ja wszystko wybaczyłbym mu. Ale, że to nie jest moja osobista sprawa, tylko sprawa wszystkich, strzelił mu w łeb bez zmuszenia oka. Teraz jest wszystko w porządku.

— Jakto — zawołała Mela — więc to był właśnie ten?

— Tak — powiedział Leon — to właśnie ten. Bądź zdrowa.

Stanisław Dygat



JULES LEVERRIER

Przełożył PAWEŁ HERTZ

# Narodziny armii narodowej (1789 - 1794)

Poniżej zamieszczamy fragment z książki o utworzeniu się rewolucyjnej armii narodowej w okresie rewolucji francuskiej. Autorem tej pracy, która w całości ukazuje się w przekładzie polskim, jest Julian Brun-Bronowicz, wybitny polski teoretyk marksistowski, zmarły podczas wojny.

Redakcja

## WSTĘP

**W**STRZĄSY i przewroty, które nastąpiły w roku 1789 i 1794 ułatwiają nam zrozumienie epoki Rewolucji Francuskiej o wiele lepiej i głębiej niż na to pozwalają stosunkowo spokojne okresy historyczne w wieku XIX. Niektóre dziedziny historii Rewolucji ukazują się nam w nowym świetle, studiowanie zaś wydarzeń historycznych sprzed lat 150 utwierdza pod wieloma względami naszą świadomość wśród zamętu idei i namiętności naszej epoki.

W latach 1789—1794 siła zbrojna występowała w rozmaitych i sprzecznych ze sobą formach: jako armia królewska, jako lud powstańczy, jako gwardia narodowa, będąca szacem ustroju przejściowego — przeciwko monarchii i przeciw naporowi mas ludowych; a w latach późniejszych występowała kolejno nowe formy: ochotnicy narodowi spośród „obywateli cennych”, samorzutne zbrojenie się ludu, pobór i „pospolite ruszenie”, „stopienie się” (L'amalgam) kontyngentów ludowych z oddziałami wojsk regularnych w jednolite armie Republiki.

Dziela podstawowe dotyczące historii politycznej Rewolucji uwiadcniają w zasadzie stercza, jakie wynikały między tymi rozmaitymi formami siły zbrojnej. Jednakże w dziełach tych nie dość wyraźnie uwypuklono jedność pełnego sprzecznici procesu rozwojowego, z którego wyrosła groźna potęga wojskowa Republiki i Cesarstwa.

Historikom wojskowym Rewolucji, którzy skłaniali się do jednostronnego ujmowania wydarzeń, taki czynnik jak zbrojny lud powstańczy musiał oczywiście również wydać się elementem wyłącznie ujemnym i rozkładającym w zestawieniu z wojskową potęgą Francji.

Korzystając z doświadczenia płynącego z wydarzeń współczesnych jesteśmy w stanie lepiej pojąć skłębioną i pełną sprzeczności rzeczywistość historycznego „stawania się”. Przemiana rewolucyjnych sił społecznych, które niszczyły ustaloną porządek w siły twórcze i konstruktywne, nie jest dla nas bynajmniej czymś nieoczekiwanym. Nie dostrzegamy ani paradoksu, ani zagadki, w tym, że siły, które dokonały rozkładu dawnej armii królewskiej (powstania ludowe, rewolwy wojskowe) mogły się następnie przekształcić i stać się, wraz z emancypacją klas poprzednio uciskanych, pozytywnym czynnikiem potęgi francuskiej.

Rozumiemy dynamizm walk społecznych, które niezwykle wzmocniły tę potęgę, mimo defetyzmu i zdrady klas wyciżonych ze swoich przywilejów.

Obowiązkowa służba wojskowa została wprowadzona w krajach Europy kontynentalnej w okresie zbrojnego pokoju, który nastąpił po wojnie 1870—1871 roku. Zasada służby obowiązkowej przysłała z Prus w odróżniającej postaci hierarchicznego i przesadnie zbiurokratyzowanego militarysty, który pogardzał „cywilnym”, wzbierał myśli, unicestwiał osobowość i godność człowieka, klasyfikował ludzi jak bydło. Korpus oficerski, wychowany w tradycjach dawnej szlachty i tworzący oddzielną kastę, czynił z armii, wbrew jej szerokiej ludowej bazie, zasadniczą ostoję reakcji politycznej i społecznej.

We Francji, a w innych krajach w jeszcze większej mierze, militarysta tego typu musiał całkowicie wyprzeć wspomnienie rewolucyjnych źródeł pochodzenia powszechnej służby wojskowej. Wszelkie więzy łączące służbę wojskową z tym początkowym źródłem jej pochodzenia zdawały się być zerwane.

Wojna 1914—18 roku uwiadczyła w jakim stopniu wybitnie demokratyczna zasada, z której powstały armie nowoczesne postawała w sprzeczności z zasadą ślepego postępowania wobec hierarchii kastowej, z gruntu obecą masom ludowym. Załamanie i wybuchy rewolucyjne nastąpiły w tych krajach, gdzie sprzeczność ta występowała najsilniej: w Rosji, następnie w cesarstwie austro-węgierskim i w Niemczech. Wreszcie pamiętniki mężów stanu oraz inne świadectwa współczesnych wykazały, iż w armiach mocarstw zachodnich proces ów również się odbywał i że był on dość daleko posunięty w chwili wybuchu wojny.

Z drugiej strony mogliśmy obserwować powstawanie wielkich armii ludowych — Armii Czerwonej w Rosji, republikańskiej armii hiszpańskiej, chińskiej armii narodowej. Dzieje tych armii odtwarzają w zasadniczych zarysach narodziny armii narodowej we Francji. Te armie ludowe w walce z przeciwnikiem rozprzeczającym wojskami regularnymi, kadrami zawodowymi i obrzucanymi przewagą w zaopatrzeniu i uzbrojeniu wykazywały i nadal wykazują swoją zdolność bojową. Militarystom okresu 1870—1914 okazało się przestarzałe. Rządy i sztaby, które sądziły, iż będą mogły odrestaurować ów system przez wprowadzenie częściowych udoskonal-

zeń lub z pomocą motoryzacji, powtórzyły jedynie błąd spóźnionej reformy, którą Drugie Cesarstwo przeprowadziło w swojej armii zawodowej w okresie między Sadową i Sedanem. Szablony konserwatywne zawodowych oficerów prowadziły stale do klęski.

Państwa faszystowskie szukają rozwiązania problemu w rozciągnięciu na całe społeczeństwo hierarchii i dyscypliny według wzoru pruskiego, co spodziewają się osiągnąć przez jednolitą i jednoczesną tresurę umysłów, uczuć i ciała. Ten faszystowski typ siły zbrojnej może w pewnej mierze, zwłaszcza zaś w początkowym etapie wojny, okazać się wyższy pod względem wojskowym od armii zastępczych w tradycjach przedwojennych. Jednakże na dłuższą metę ów typ armii nie jest bardziej odporny, będąc w gruncie rzeczy jedynie gorszym, naśladowaniem dawnego systemu, od którego różni go jedynie wciśnięty wysiłek mający na celu stłumienie i ukrycie wad leżących u jego kolebki.

Istnieje jeszcze inne rozwiązanie — to, z godną podziwu szerokością poglądów i przenikliwością głosił Jaures w przeddzień wybuchu wielkiej wojny. Rozwiązanie to polegało na utworzeniu armii istotnie ludowej, związanej klasnymi więzami z klasami pracującymi, będącej narzędziem obrony zdobyczy społecznych wolności i dobrobytu tych klas. Przykłady historyczne i współczesne takiej siły zbrojnej potwierdzają jej wyjątkowe zalety. Jej nieugięty duch, podtrzymywany przez entuzjazm i heroizm najszerzych warstw ludu, jej wyjątkowa zdolność tworzenia i uzupełnienia szeregów, przegrupowywania się i powstawania z nową siłą po odniesionych porażkach — wszystko to pozwalała jej stawiać czoło przeciwnikowi w warunkach jak najmniej dogodnych. Armia taka należy do zaopatrzonej w żywność i w sprzęt, nie ma sobie równej.

Oczywiście — wybór między dwoma rozwiązaniami — faszystowskim i ludowym — nie może zostać dokonany teoretycznie przez czynniki wojskowe. Zagadnienie to zostanie rozwiązane w wyniku walk politycznych i społecznych. Jednakże wydaje się rzeczą słuszną, by w chwili obecnej podkreślić, iż wojskowa potęga Francji w jej szczytowym rozwoju stanowiła funkcję postępu społecznego we Francji. Tradycje narodowe zestawione z podobnymi doświadczeniami, które odbywały się w naszych czasach, okazują się bardziej pouczające niż terminowanie w Rzymie lub Berlinie. Z doświadczeń tych wynika, że rozwój demokracji i urzeczywistnienie w najszerzej mierze dążeń społecznych klas pracujących, nie tylko nie osłabia Francji, lecz przeciwnie — stwarza wysoki potencjał jej siły zbrojnej, zdolnej oprzeć się każdemu napastnikowi, bez względu na to, jak bardzo „totalitarny” byłby wprowadzony przez niego ustrój powszechnego skoszarowania i ucisku.

## SPRAWY WOJSKOWE W SUPLIKACH

Najważniejsze żądania zawarte w suplikach (cahiers de doléance) przekładanych królom, jak np. żądanie równego dostępu do urzędów państwowych i zniesienia zasady nabywania stopni oficerskich, godziły również w armie. Wielka część suplik zawierała otwartą krytykę systemu wojskowego. Supliki stanu trzeciego domagały się przeważnie obalenia przywileju rodowego i zniesienia milicji prowincjonalnej, do której powoływano na zasadzie losowania. Rozporządzenie z roku 1781 (o czterech pokoleniach szlachectwa) spotkało się z powszechnym potępieniem. Nawet szlachta wielką uważała się za pokrzywdzoną na rzecz arystokracji dworskiej.

„Ze łzami w oczach, z bólem w sercu szlachta (Bouzonville'u) błaga Jego Królewską Mość, by wyższe stopnie oficerskie uczynił dostępnymi według zasług”. Domagano się również zmniejszenia ilości wojsk cudzoziemskich.

## ŻĄDANIA STANU TRZECIEGO

Pogląd burżuazji i szerokich mas ludowych na sprawy ustroju wojskowego w okresie monarchii został najpełniej wyrażony w suplicie stanu trzeciego z okręgu trybunalskiego Nemours. Dokument ów, odzwierciedlający powszechną w owej epoce niechęć do służby wojskowej, zawiera interesujące szczegóły dotyczące rekrutacji do milicji prowincjonalnej. Jednocześnie dokument ten stanowi połączenie drobniaczego wyrachowania z przywiązaniem do zasad co jest wysoce charakterystyczne dla sięgającej po władzę burżuazji.

„Niegdyś, jedynie szlachta była obowiązana prowadzić wojnę i to prowadzić ją na własny koszt. Z tego też tytułu korzystała ze swojego ienna, posiadała przywileje i zaszczyty.

Obecnie przestało to być jej obowiązkiem, przeszedł on w całości na lud nie mający ani lenna, ani przywilejów, ani zaszczytów, ani nawet pełnej swobody w używaniu przysługujących mu praw; lud uważa, iż sposób, w jaki zmusza się młodzież do tworzenia pułków prowincjonalnych jest rodzajem niewolnictwa, ma być formą wyrozumienia, które mogło by lud silnie jeszcze przywiązać do ojczyzny niż jest on przywiązany obecnie. Po przybyciu do pułku młodzież spotrzega, że i tam podlega formom niewolnictwa.

...pobór do milicji oparty na losowaniu zawiera w sobie wszystkie przykrości, wszyst-

kie okrucieństwa i niesprawiedliwości, jakie tylko można zawrzeć w powinności.

Powinność ta jest uciążliwa zupełnie w inny sposób niż te świadczenia, które są opłacane od dochodu z dóbr, odbiera bowiem więcej niż dobro, zagarnia samą osobę podatnika.

Powinność owa nie rozciąga się na całe społeczeństwo; nie tylko że podlegają jej obywatele należący do stanu trzeciego, ale w dodatku podlegają jej niezależnie od swojego majątku; o tym czy podlegają oni tej powinności decyduje ich wzrost. Mężczyzna niskiego wzrostu bardzo bogaty nie ponosi z powodu poboru do pułków prowincjonalnych dotkliwego wydatku ani też nie jest niczym niepokojony, zaś mężczyzna słusznego wzrostu, który nie posiada nic poza własnymi rekami, których pracą utrzymuje ojca i matkę, zostaje bezsilnie oderwany od rodziców i unosi wraz z sobą środki ich utrzymania.

Niejednakowo powinność tej podlegają mężczyźni jednakowego wzrostu; rozstrzyga o tym ślepy los, który wybiera jednego z nich, odrywając go od jego osobistego życia, od prac najbardziej pożytecznych dla społeczeństwa. Ci, których czarny bilet nie poddał swoich tyranii, mogą swobodnie powrócić do swoich domów i w ogóle nic nie płacą.

„Zazwyczaj w takim losowaniu do milicji bierze się spośród czterdziestu mężczyzn tylko jednego. Wszyscy pozostali, którzy wraz z nim brali udział w losowaniu, składają do jego sakiewki przynajmniej po 12 liwrow, by go pocieszyć w jego nieszczęściu, są nawet i tacy, co dają ludwika (dawna moneta francuska — przyp. P. H.). Ale stan trzeci okręgu trybunalskiego Nemours oblicza, iż jest to suma niewielka. Ow datek bowiem jest dobrowolną ofiarą ze strony młodzieńców i ich rodzin, złożoną na rzecz tego spośród nich, kto utracił wolność.

Wielokrotnie usiłowano w sposób barba-ryński zabronić im składania tak chwalebnej daniny, na szczęście jednak siła uczucia okazywała się większą niż siła rozporządzenia... i chociaż zwyczaj składki pieniężnej dla żołnierza milicji prowincjonalnej nie został jeszcze uznany, to jednak był tolerowany i ogólnie przyjęty. Młodzieńcy muszą stracić trzy dni na to, by dotrzeć do miejsca zbiórki, być tam podczas losowania i powrócić do domu... Stracę ich zarobku wraz z wydatkiem na podróz i koszty pobytu trudno ocenić na mniej niż na 6 ludwików.

Udział każdego mężczyzny w losowaniu do milicji prowincjonalnej kosztuje więc 18 liwrow, 720 zaś liwrow wplaca faktycznie czterdziestu ludzi za dostarczenie królom jednego żołnierza do milicji prowincjonalnej... ponadto istnieje jeszcze gratyfikacja w wysokości 100 sous na człowieka, którą musi opłacić cała prowincja... żołnierza milicji prowincjonalnej kosztuje więc faktycznie 920 liwrow, z czego 5/23 przypada na prowincję, zaś 18/23 na rodzinę mającą dorosłych synów.)

„Pobór żołnierzy do milicji prowincjonalnej na zasadzie losowania stanowi dla parafii i dla rodzin podatek pieniężny przynajmniej pięciokrotnie wyższy niż wydatki na rekrutów a nie ochotników, które nie wprowadzałyoby zamętu w życie rodzinne i nie przy-czyniałyby uszczerbku żadnej więzi społecznej.

„Wydał się więc rozsądnym i koniecznym, by znieść zasadę losowania do milicji prowincjonalnej i rekrutować do pułków prowincjonalnych ochotników za pieniądze, na koszt całego narodu.

„Jest rzeczą nad wyraz niesprawiedliwą, by obywatele pochodzący ze stanu trzeciego, stając się żołnierzami milicji prowincjonalnej lub też ochotnikami, którzy wstąpili do innych pułków, byli traktowani przez obywateli ze stanu szlacheckiego w sposób niegodny żadnego człowieka, a tym bardziej doświadczanego wojskowego. Nie zezwala się już na przyjmowanie członków stanu trzeciego jako oficerów pułkowych bez względu na ich wykształcenie i majątek, co jest rzeczą niesłuszną, albowiem nie ma żadnych podstaw, by twierdzić, iż służyli by oni gorzej od innych, których do służby się dopuszczają. Ci, którzy ich nie dopuścili bez wątplenia nie czuli się na siłach, by z własnej tylko zasługi stać się Fabertami, Chevertami i Catinatami, woleli więc dopomóc sobie przywilejem wyłączności.

„Ale czyż nie jest to rodzajem sprzyśnięcia przeciwko stanowi trzeciemu, że w tym samym czasie gdy wzbrania mu się dostępu do korpusu oficerskiego, poddaje się go jako żołnierza niewolniczej dyscyplinie?

Kiedy dopuszcza się człowieka do zaszczytnej brania udziału w obronie ojczyzny bez względu na to, w jakim byłoby stopniu woj-

\*) Istnieje jeszcze jedno nadużycie popełnia nie przy losowaniu. Żołnierze milicji prowincjonalnej, którzy pragną wykupić się od służby otrzymują zwolnienie za 210 liwrow, przeznaczonych na dostarczenie zastępcy. Zastępców owych bierze się z więzienia lub z przytulku dla żebraków. Człowiek taki często trawiony zgubnymi chorobami umiera w ciągu roku i parafie, które zdawały się, zostały na sześć lat zwolnione z obowiązku dostarczania młodych, silnych ludzi, muszą dać znów nowego rekruta i opłacić daninę w wysokości 920 liwrow. (Przepis w suplicie).

skowym, to właśnie w tym celu, aby bił on tych, którzy odważyliby się mu grozić, a nie po to, aby być bitym... Trzeba by człowiek ów stworzył sobie takie pojęcie o własnej wartości, dzięki któremu mógłby sobie wyobrazić, iż nigdy nie będzie uderzony bezkarnie.

Niechże sobie narody posłuszne despotom słuchają kija czy szpicruty, kto cierpliwie znosi uderzenia, ten jest ich godzien, jednakże jest obłędem niezrozumiałym zarówno dla filozofów jak dla prawdziwych wojskowych, że wojownicy francuscy znieważają towarzyszy swoich wypraw i zniesławiają dzielność, od której oczekują zwycięstwa.

„Karność nie stoi bynajmniej na przeszkodzie temu, by istniał rodzaj braterstwa między dzielnymi ludźmi, bez względu na ich stopień wojskowy, którym być może wypadnie umierać obok siebie. Pod tym względem żaden tytuł szlachecki nie może usprawiedliwić jakiegokolwiek uchybienia, każdy bowiem, zwłaszcza we Francji, ma swoje szlachectwo, a najlepsze spośród jest zapewne to, które łączy się z samym człowiekiem. Należy przypuszczać, iż wojska nasze staną się wojskami ojczyzny, że ich odwaga stanie się zarazem bardziej dumna i bardziej rozsądna, że wszelka ustawa mogąca obniżyć ich wartość nie będzie utrzymana, gdyż wprowadzałyby do armii bunt zamiast dyscypliny.

Trzeba by została zarządzona reforma tych haniebnych ustaw, w przeciwnym razie dokonana się sama. Stan trzeci okręgu trybunalskiego Nemours prosi by nie był pozbawiony dostępu do stopni oficerskich... by wszelka kara cielesna była wzbroniona...

„...by żołd został podwyższony w ten sposób, aby żołnierz mógł otrzymać dostateczną ilość wyżywienia. Ilość chleba, jaką otrzymuje żołnierz jest dla większości niewystarczającą, jakoś jego nie jest dość dobra...”

Do wojska wstępują ludzie uwiedzeni pokusą służby, o ile nie dzieje się to wskutek przymusu, jak w wypadku żołnierzy milicji prowincjonalnej... zapewne z wielką trudnością tam pozostają... wśród niecierpliwie młodzieży zdarza się zapewne wiele wypadków dezercji... Czy nie wydaje się rzeczą oczywistą, iż jeśli by żołnierz odczuwał zadowolenie ze swojego położenia, wówczas wart byłby więcej jako wojskowy?

Czyż trzeba, by właśnie stan trzeci pouczał szlachtę o podstawowych zasadach organizacji wojska?\*)

## STANOWISKO SZLACHTY

Supliki szlachty zajmują się przede wszystkim, co było zresztą całkowicie naturalne, zagadnieniami dotyczącymi kariery wojskowej. Szlachta, której poglądy na sprawy bieżące były bardzo rozmaite, nie miała również jednolitego zdania w sprawie dotyczącej utrzymania prerogatyw rodowych w wyższej hierarchii wojskowej. Wielka ilość suplik szlachty gani istniejący system wojskowy i sprzeciwia się gwałtownie stosowaniu kar cielesnych.

Szlachta Auxere wskazuje, że kary cielesne są zasadniczą przyczyną masowych dezercji: „Kara bicia płazem szabli winna być zniesiona, kara owa, której nie podda się żaden Francuz, stała się od chwili jej wprowadzenia, powodem ucieczki dzielnych żołnierzy...”

„...niechże owa ohydna dyscyplina, która od kilku lat została wprowadzona w naszej armii, — czytamy w suplicie szlachty Saint-Mihel, a która jest tak wybitnie sprzeczna z naszym obyczajem i z charakterem naszego narodu, zastąpi dyscyplina oparta na zasadach honoru... Bicie płazem szabli wymyślone przez naśladowców dyscypliny panującej w mocarstwach sąsiednich, nie przystoi w żadnym wypadku tak szlachetnemu narodowi...”

Szlachta Reims stwierdzając ogólne niezadowolone oraz „krancowe wzburzenie” panujące wśród żołnierzy i prawie wszystkich doświadczonych oficerów, domaga się ustawy wojskowej, która byłaby „naprawdę narodowa i zachowywała część francuską, zszeszczoną przez nowowprowadzane kary”.

Suplika proponuje w celu przygotowania projektu takiej ustawy, by zwołać przedstawicieli „generałów, starszych oficerów, niższego stopnia korpusu oficerskiego wszystkich stopni, wybranych przez oddziały wojskowe”.

Podobnie szlachta Vermandois proponuje, „aby wszyscy wojskowi mogli się ukonstytuować w radę wojskową wybraną przez nich samych, która by mogła przyjmować ich zażalenia i składać je bezpośrednio u stóp króla”.

Byłoby błędem, jeśliśmy się dopatrywali w tych projektach utworzenia obieralnego przedstawicielstwa wojskowych wyrazu tendencji radykalizmu demokratycznego. Projekty te wyjaśniają raczej istotę owej frondy szlacheckiej, która w okresie ostatecznego pomieszenia jej, miała pewną łączność z żądaniem ludu. Zachcianki szlachty, mające na celu osłabienie biurokratycznego centralizmu monarchii absolutnej, czepały natchnienie ze wspomnień epoki feudalnej. Tej tendencji należy również przypisać sugestie dotyczące ustanowienia autonomicznej reprezentacji stanu wojskowego.

\*) Les Archives parlementaires, t. IV, p. 119—122.



ADAM WAZYK

## Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

**S**ZTUKA Kazimierza Korcella pt. „Bankiet” rozgrywa się w r. 1946, w pierwszą rocznicę zakończenia wojny. W hotelu niewielkiego miasteczka prowincjonalnego odbywa się z tej okazji bankiet, urządzony przez prezydenta miasta, który w ciągu roku zdołał wykazać się wielką energią i pracowitością. Stefan — tak na imię prezydentowi — ma żenić się z niejaką Marią, która okazuje się dawną przyjaciółką świeżo mianowanego wojewody. Aż nazbyt łatwo zorientować się można, że Maria to osoba, która w warunkach okupacyjnych, zatraciła się moralnie i szuka dla siebie korzystnego mariażu. Toteż opuszcza Stefana dla nowego wojewody, Karola, pod pretekstem, że Stefan okazał się kolaborantem. Istotnie, to groźne podejrzenie pada na Stefana, ale dzięki wyjaśnieniom jego ojca sprawa przedstawia się inaczej. Inaczej i bardzo jakoś zawile, Stefan nie pomógł w swoim czasie partyzantom, ponieważ nie było to w jego mocy i nie był uświadomiony politycznie, a dopiero później, jak oświadcza, „odnalazł właściwą drogę”.

Chętniebym uwierzył w te wyjaśnienia, ale pozostał mi po całej aferze Stefana jakiś niewyraźny osad. Mam wrażenie, że autor dał się wciągnąć w niepotrzebne zawroty moralno-polityczne, jakimi znaczna część naszej literatury pokupacyjnej dogadza gustom drobniomieszczanśkiego czytelnika i widza, ale poczawszy grząski grunt pod nogami, skwapliwie się wycofał. Wycofał się szybko, choć nie najchętniej. Sprawa Stefana przedstawia się bowiem jeszcze inaczej. Stefan korzysta z nazwiska poległego partyzanta, z jego stawy i legendy. Dowiadujemy się w końcu, że chciał tę legendę odrzucić, ale starosta mu nie pozwolił. Thumaczył mu jakoby, że legenda poległych powinna w ten sposób wspomagać twórczą pracę żywych.

„Nie znam owego starosty ze sztuki Korcella, ale żadną miarą nie mogę się z nim zgodzić. Ten starosta jest bardzo złym ideologiem demokracji ludowej. Ciągnął na nim nawyki myślenia z lat międzywojennych, teoretyki o „pożyteczności mitów” zapożyczone od Sorela. Odniosłem wrażenie ze sztuki, że autor również nie pochwała tych teoretyków, tylko nie wiem, gdzie i kiedy wypatrzył takiego starostę.”

Do akcji rozgrywanej się w 1946 roku autor dołączył epilog, który dzieje się po dwóch latach, a więc już w chwili obecnej. Dowiadujemy się z epilogu o dalszych losach ludzi, którzy brali udział w owym bankiecie. Rozmaite podmioty moralnie figury, które przylgnęły w pierwszych latach do demokracji ludowej, usunęły z drogi, ten został wyświecony z szeregu partyjnych, ów powędrował do więzienia. Pani Maria z kolei porzuca Karola dla przedstawiciela inicjatywy prywatnej. Karol bowiem już nie jest wojewodą. W epilogu tym rozgrywa się całkiem nowy, niepodjęty pod czas owego bankietu dramat Karola. Co prawda, podczas owego bankietu Karol hamletyzował nieco, kiedy szło o stosunek do kolaboracji,



Państwowy Teatr W. P. w Łodzi. „Bankiet” Kazimierza Korcella, reżyserował Leon Schiller; dekoracje Zenobiusza Strzeleckiego.

ale mimo to dramat polityczny Karola, pokazany w epilogu, spada na widza jak nie spodzianka. Karol uległ wahaniom politycznym, zszedł z drogi demokracji ludowej i omal nie dostał się w sidła obcego wywiadu. To go otrzeźwiło. Zrozumiał, że oderwał się od mas ludowych i składa deklarację skruchy.

Ta sprawa Karola rozgrywa się w blaskawym tempie. Dosłownie w ciągu dziesięciu minut dowiadujemy się o poróżnieniu Karola z demokracją ludową, widzimy jego utarczkę z osaczającymi go agentami reakcji i ostateczne nawrócenie. Nie można jednak uważać tego za skrót realistyczny, do jakiego ma prawo i powieściopisarz i autor sceniczny, bo autor nie podaje żadnej treści konkretnej, żadnego tła, motywu, przebiegu tej sprawy politycznej, demonstruje tylko ramową tezę, że kto odrywa się od postępującego ruchu historii, ten musi wpaść w objęcia reakcji. Teza jest słuszna, ale demonstracja jej w blaskawym tempie, wyzbytą konkretną treścią, sprawia pomimo dialogów wrażenie pantominy.

Ponadto rozmaite komplikacje ogromnie utrudniają zrozumienie sztuki. Epilog nie jest tu zwykłym przedłużeniem akcji. Postaci, które tu występują, nie są postaciami z owego bankietu, ale ich prototypami. Mamy teatr w teatrze. Sceny rozgrywane się podczas bankietu stanowią spektakl teatralny i podczas tego spektaklu w foyer teatru spotykają się osoby, które w zdzwiennem i przykrością stwierdzają, że zobaczyły swoje

portrety z 1946 roku w scenach bankietu. Przy tej okazji autor wprowadza do foyer teatru publiczność i recenzentów, ośmieszając ich wypowiedzi i z góry bierze sobie odwet za ewentualny niepochebny sąd o jego sztuce. Dramat polityczny Karola rozgrywa się w tymże foyer, a więc w miejscu najmniej prawdopodobnym. Tutaj też odbywa się zasadniczy dialog między Karolem a aktorem, który gra jego rolę w „Bankiecie”, chociaż, jak wiadomo, regulamin każdego teatru zabrania aktorom biorącym udział w spektaklu kręcić się po foyer. Autor świadomie nagromadził te dowolności i osiągnął bardzo osobliwy efekt. To co się dzieje w scenach „Bankietu”, stokrotnie bardziej przypomina rzeczywistość, niż to, co się dzieje w foyer.

W układzie sztuki Korcella zaszła dziwna pomyłka, która zupełnie dezorientuje widza. Wyobraźcie sobie, że czytacie książkę, w której pomyłono numerację stron. Epilog, zamiast znaleźć się na końcu, wdarł się do środka sztuki jako akt drugi. Wynikły stąd rzeczy niewytłumaczalne. Oto Karol, zszedłszy rozwiązana swego dramatu politycznego, zaleca aktorowi, który gra jego rolę, aby odpowiednio zmienił tekst w następnym akcie. Tymczasem w następnym akcie, który przynosi zakończenie scen bankietowych z 1946 roku, a więc cofa akcję wstecz, dramat polityczny Karola nawet nie świta. Widać, że mechanicznie i bez zastanowienia, dla jakichś względów formalnych, odwrócono kolejność aktów, przesunęli epilog na niewłaściwe

miejsca i wyrządzono sztuce pokazną krzywdę.

Niezależnie od tego zaszkodziły autorowi niewczesne pirandelizmy, które skłoniły go do wykonywania sobie teatru w teatrze. Mamy tu przykład formalistycznego stosowania środków teatralnych nieodpowiednich do wyznawanej ideologii. Teatr Pirandellogo wyrasta z konwencjonalistycznego poglądu na świat i człowieka. W myśl tego poglądu osobowość człowieka jest relatywną i dowolną koncepcją autora. Można ją pokazywać w jednym akcie tak, a w drugim na wspan, można igrać niespodziankami psychicznymi, można osobę na scenie rozszczeplić na postać sceniczną i aktora, wprowadzać targi i umowy między postacią sceniczną i aktorem. To wszystko staje się zupełnie nieprzydatne dla pisarza, który nie jest konwencjonalistą, a mam poważne powody sądzić, że Kazimierz Korcelli nim nie jest. Kazimierz Korcelli chciał pokazać proces rozwoju życia w naszej rzeczywistości i rozwoju świadomości politycznej. Doprawdy, niepodobniestem jest pokazać taki proces przez gromadzenie coraz to nowych niespodzianych motywów, przez figlowanie podwojnym teatrem i zaskakiwanie widza coraz to innym poglądem na te same sprawy. W tej ekwilibrystyce może autor osiągnąć łatwe powodzenie, ale nie należałoby życzyć takiego powodzenia pisarzowi postępowemu.

W sztuce Korcella są zadatki na rzetelną komedię i rzetelny humor w duchu postępowym. Gwarancją takiej komedii jest postać Muszki, który w pierwszych scenach wydał mi się ludowym porte-parole autora. Tam, gdzie występuje Muszka, czuje się świeży, optymistyczny zagrzewający powiew humoru. Wszystkie pirandeliczne łamańce sceniczne chętniebym oddał za jedną scenę z Muszką. Życzę Kazimierzowi Korcellemu, żeby go prowadził humor, instynkt, trzeźwość i romantyzm Muszki. Wtedy jego sztuki będą miały normalną numerację aktów i wystarczą mu jeden, nie podwojony, normalny teatr.

Sztukę Korcella wystawiono w teatrze Wojska bardzo starannie. Widać było mistrzowską rękę Leona Schillera w modulowaniu poszczególnych scen, w plastycznym układzie postaci, w jasnym podawaniu tekstu przez artystów. Dobrze przysłużyły się sztuce dekoracje Zenobiusza Strzeleckiego przedstawiające hall miasteczkowego hotelu; wszystko tam było stare, osiadłe, zadomowione, wszystko uzasadniało przywiązanie starego Muszki do tego miejsca. Muszka w pysznej interpretacji Stanisława Lapińskiego gotował moją urazę do autora, że za mało było tej postaci na scenie. W krótkich rolach, bo dłuższych nie było, wyróżniali się Hanna Skarżanka, Janina Macherska i Danuta Manciewicz, Zdzisław Szymański, Feliks Zukowski, Kazimierz Dejunowicz i Tadeusz Woźniak. Szczęśliwie zaś ujął mnie swoim delikatnym wyczuciem humoru Jan Świdorski w drugim akcie, w roli aktora.

Adam Ważyk

## KRONIKA FILMOWA

## CEZAR NIEWIDZIALNY

Na ekrany polskie wszedł z dawna zapowiedziany i przeważnie ostro krytykowany przez prasę zagraniczną, brytyjski film „Cezar i Kleopatra”. Film ten stanowi oddzielne zagadnienie w dziedzinie sztuki filmowej, warto więc pokrótce zebrać najważniejsze fakty z okresu jego powstania.

G. B. Shaw nie chciał nigdy pozwolić na filmowanie swych sztuk teatralnych. Nie wdając się w jego osobiste powody, można bez zastrzeżeń zrozumieć intencje brytyjskiego pisarza. Dotychczasowe przeróbki filmowe znanych dramatów czy komedii były mało zachęcające.

Jakimi drogami trafił do Shawa nikomu nie znany, trzeciordny przedsiębiorca filmowy Gabriel Pascal — trudno dociec. Dość, że Shaw odstąpił mu prawa transpozycji filmowej sztuk „Pygmalion”, „Major Barbara” oraz „Cezar i Kleopatra”.

W dwóch pierwszych filmach Pascal nie ufając sobie jako reżyserowi, przyjął do zespołu produkcyjnego fachowych reżyserów, którzy potrafili bez wielkiej inwencji, nie-



Ernest Thesinger — przykład przytłoczenia aktora dekoracjami.

mniej starannie przełożyć sztuki na język filmowy.

Stanowiący na nogi, Pascal poczuł się dość pewny siebie, by wziąć reżyserie w swe własne ręce. Przedsiębiorca J. A. Rank oszołomiony kasowymi sukcesami poprzednich filmów stawił mu do dyspozycji nieograniczone kredyty. Powstał pierwszy brytyjski film „na hollywoodzką skalę” i na amerykański gust. Pascal zaangażował Claude Rainsa i Vivien Leigh, podpisał dyspozycję zmontowania siedemdziesięciu gigantycznych dekoracji, zaangażował jako doradców najbardziej znanych egiptologów, którzy odwzorowali Aleksandrię oraz stroje epoki z najbardziej wierną dokładnością, wreszcie stwierdziliśmy, że egiptki piasek nie jest fotogeniczny, przewiózł do Egiptu okręt z piaskiem z Wielkiej Brytanii! Działo się to w samym środku libijskiej ofensywy Wawella, ale piasek był potrzebny aby posypać nim pustynie. Dopiero po spełnieniu tego postulatów mistrz od „Technicaloru” — Natalia Kalmus — była zadowolona.

Te wszystkie „inwestycje” wyrubowały budżet filmu do sumy prawie 5.000.000 dolarów.

W wyniku film dał 2.800.000 dolarów nie-doboru — ale nie to stanowi oczywiście o jego klęsce, chociaż to właśnie spowodowało interwencję w brytyjskim parlamencie. Klęska ta uwidacznia się w zasadniczym nieporozumieniu, któremu winien jest wyłącznie Pascal. Tworząc olbrzymie, przytłaczające dekoracje w plenerze, stwarzając wizję prawdziwego Egiptu, Pascal przekreślił kameralne znaczenie sztuki i wykluczył w zasadzie wszelkie aktualne aluzje z dialogu. Mógł pójść po innej linii, starając się wzmocnić widzom, że zdarzenia, na które patrzają istotnie rozegrały się kiedyś w historii. Pascal nie wyczuł absurdu w pozostawieniu nie-realnych postaci sceniczych w nawskroś realistycznym otoczeniu. Zachował cały sarkastyczny dialog Shawa mimo... tysięcy egiptkich kolumn, bram, zakamarków, wielkich

placów, rynków i uliczek. Chcąc ugotować dwa grzyby w jednym barszczu — przegrał.

W rezultacie tego zasadniczego nieporozumienia jesteśmy świadkami kiczu filmowego na niebywałą skalę. Mimo znacznych wysiłków realizatora film wywiera najgorsze wrażenie, gdyż ogólny plan nie został zsynchronizowany, każde słowo dialogu brzmi fałszywie, a lekka forma Shawa ginie przytłoczona architektonicznym przepychem.

Nie widziałem „Cezara i Kleopatry” Shawa na scenie, gdyż sztuka ominęła większe miasta polskie, ale wyobrażam sobie, że Shaw wkładając w usta postaci historycznych dialog prowadzony językiem współczesnym (nie chodzi tu naturalnie o odróżnienie między łaczną i angielskim) nie miał zamiaru zmuszać widzów do wiary w rzekomy dramat historyczny. Postaci historyczne stanowią tu raczej preteksty gdyż w ich ustach niektóre zdania czy ujęcia nabierają rumieńców życia i stają się bardziej efektowne. Przymusowa tandeta dekoracyj teatralnych i stała świadomość obecności aktora na scenie skłaniają widza do przyłożenia właściwej miary do tego rodzaju komedii. Ekran rządzi się innymi prawami. Nawet jeśli Neron, Napoleon czy Curie-Skłodowska używają języka angielskiego — widz daje się łatwo zasugerować, że widzi zdarzenia autentyczne, lub najlepsze ich odwzorowanie. Widz ten ma prawo spodziewać się realizmu a nawet musi oczekiwać tego rodzaju intencji ze strony scenarzysty czy reżysera filmów historycznych.

Pascal, wyraźnie mieszając dwa style, kazał się swym rzekomo historycznym postaciom bawić w chowanego wśród setek filarów gubiąc za jednym zamachem i historię Shawa.

## PROGRAM AKTUALNOŚCI

Krótkometrażowe polskie filmy dokumentarne odnoszą oddawna sukcesy na wszystkich ekranach Europy i niektórzy krytycy po obejrzeniu filmów: „Warszawa oskarża”,

„Powódź” i „Kopalnia” zbyt pochopnie zaczęli zapowiadać narodziny nowej polskiej szkoły filmu dokumentarnego, w którym muzyka jako komentarz zastąpiła słowo. Twierdzenia te były przesadzone i przedwczesne. W każdym razie jednak film dokumentarny w dalszym ciągu stawia polską kinematografię na czołowe miejsce wśród kinnych.

A tymczasem właśnie w Polsce film krótkometrażowy i dokumentalny jest — rzeczą paradoksalną — całkowicie zaniedbany. Widz polski nie ogląda polskiej produkcji krótkometrażowej, którą zachwyca się zagranica, bo nie wyświetla się jej w kinach przed filmami pełnometrażowymi. Sprawa niezrozumiała, bo przecież nie wszystkie filmy są tak długie, by jakkolwiek dodać do nich był niemożliwy! Film zaś dokumentalny polski, oświatowy, radziecki, naukowy francuski lub kukiełkowy czeski powinien być stanowczo udostępniony naszej publiczności. Jest przecież nie tylko przyjemną rozrywką, ale jednocześnie uczy, rozwiązuje zagadnienia i rozszerza horyzonty widza.

(Ciąg dalszy na str. 11)



Claude Rains (Cezar) Vivien Leigh (Kleopatra) — przykład farsowego wyglądu rzekomych postaci historycznych.



## PRZEGLĄD PRASY

## O CNOCIE POKORY

W ostatnim półroczu zaszyły rozmaite zmiany w naszym czasopiśmiennictwie.

Potrzebne jest pismo masowe kulturalno-oświatowe i miejmy nadzieję, że takie pismo powstanie, może na nieco innych zasadach oparte niż „Dziennik Literacki”, może z innym celem społecznym, ale powstać powinno.

Otóż krakowski „Dziennik Literacki”, który osiągnął niebywałą cyfrę nakładu, bo 135.000 egzemplarzy, wybrał nowy, szczęśliwszy moim zdaniem kierunek. Pismo to przez wiele miesięcy spełniało rolę tuby reklamowej dla literatów Łodzi, Warszawy i Krakowa. Każdy z nas miał tam swoją fotografię, nasze książki były recenzowane szybciej i obszerniej niż w innych pismach, a nawet pokazywano zachwyconym czytelnikom facsimile naszych cennych autografów.

Może się myśleć, ale jestem głęboko przekonany, że o przyszłym mądrym i światłym człowieku w Polsce nie będzie decydować tylko literatura współczesna, lecz odpowiednio dobrana literatura klasyczna, której nie brak ani odwagi, ani sumienia, ani myśli, ani serca. I dlatego w piśmie tego typu co „Dziennik Literacki” jak najmniej powinno się pisać o nas, natomiast jak najwięcej o wielkiej literaturze europejskiej — własnej i obcej. Rzecz jasna, że tak pomyślane pismo musiałoby zrezygnować z czytelników — poszukujących nowinek, z pań, które w czytelnikach żądają „nowości” i na równi zachwycają się Zieloną Gęsią i manifestami poetyckimi ich autora. Po prostu pismo takie musiałoby być pismem przede wszystkim oświatowym.

Niezmiernie interesującą i pouczającą imprezą z której wyników wiele można się dowiedzieć o potrzebach nowego czytelnika, była ankieta rozpisaną przed kilkoma miesiącami właśnie przez ów krakowski „Dziennik Literacki”. Nie pamiętam już kto z czytelników, którzy odpowiedzieli na pytania jaki właściwie ma być „Dziennik Literacki”, napisał słownie: piszcie w waszym „Dzienniku Lite-

rackim” o Tolstoju, o Balzacu, o Prusie, a ja nie wiem nawet kim oni byli, kiedy żyli i co napisali. Przeciętny czytelnik rzeczywiście nie wie tego, co wie autor artykułu lub redaktor, który artykuł czyta. I dlatego należy wyciągnąć z tego moral, że pismo typu „Dziennik Literackiego” powinno przede wszystkim informować, lecz nie o tym co pisze kolega Z., o czym w wolnych chwilach myśli kolega Y. i jakie to dzieła zamierza kolega X., ale o tym, kto to jest Prus, kto Balzac, dlaczego trzeba czytać Tolstoja, gdzie można znaleźć bliższe wiadomości o dziełach naszych wielkich pisarzy itp. itp. Z drugiej strony — zamiast prowadzenia polemik o malarstwie, których nie rozumie żaden nieprzygotowany czytelnik — wolalibyśmy widzieć w „Dzienniku” reprodukcję dzieł wielkich malarzy — od Giotta do Picassa — i rozumne, przejrzyste artykuły, cierpliwie wyjaśniające rozmaite sprawy sztuki, a między innymi i sprawę deformacji w sztuce współczesnej. Mówi się dużo o tym, że sztuka i literatura w naszych warunkach musi zaspokajać potrzeby mas ludowych. Ale nie mówi się o tym, że potrzeby mas ludowych najczęściej wzorują się na tradycyjnym, małomieszczańskim poglądzie na sztukę. Dzieje się to oczywiście tylko dlatego, że mimo daleko posuniętych zmian w układzie stosunków polityczno-ekonomicznych, w dziedzinie oświaty i wychowania przez trzy lata nie można było ani zmienić zastarzałych nawyków kulturalnych mas, ani też wpaść w ogromną ilość ludzi, którym dostęp do oświaty i kultury zamykał dotąd niesprawiedliwy system ekonomiczny, przekonania, że książka, obraz, muzyka czy teatr jest tak samo konieczna jak dobra materialna. My nie zmienimy tego stanu rzeczy, działając w pismach literackich takich jak to w którym piszę, czy też w innych, których nazw nie będę wymieniał. Nie leży w mocy tych kilku pism literackich, krzewienie oświaty w masach ludowych.

Działają one w kręgu dwudziestu czy trzydziestu tysięcy czytelników, rekrutujących się ze starej czy też młodszej inteligencji, która — jak to należy przy-

puszczać — zna realia z zakresu historii literatury. I rzecz dziwna, że tych pism właśnie jest więcej niż „Dzienników Literackich”, które w moim przekonaniu są w tej chwili i potrzebniejsze, i ważniejsze i — mówiąc między nami — znacznie trudniejsze do redagowania.

Nowy tegoroczny (1) numer „Dziennika Literackiego” każe przypuszczać, że to pożyteczne wydawnictwo pójdzie właśnie po linii informowania i oświecenia nowego czytelnika, że położy więcej nacisku na podawanie mu naprawdę wielkiej i mądrej literatury, że ograniczy lokalne dowcipy o lokalnych sławach Krakowa, Warszawy czy Łodzi, że usunie nasze fotografie i autografy, a na ich miejsce da podobizny pisarzy wielkich bez których ani nam nie udało się napisać choćby jednego słowa, ani czytelnikom — ocenić wartość rzeczy napisanych.

To oni — wielcy pisarze — wygnani przez nas ze szpał pism literackich, z wydawnictw, z recenzji, z reklam — z tego wszystkiego co się składa na życie literackie kraju, będą decydować o smaku, o rozsądku, o sumieniu nowego czytelnika. Bądźmy więc skromniejsi, usuńmy się w cień, przestańmy się kłócić o to, kto jest większy poeta — Słucki czy Charłupski. Niedawno ktoś z młodych pisarzy grzmiał ze stronic pewnego pisma literackiego, którego zdaniem jest przewodniczącym w życiu literackim Polski: „Dlaczego milczy X., dlaczego nie pisze Z.?” A ja się pytam wielkim głosem, dlaczego nie piszecie o Tolstoju, dlaczego milczycie o Zoli, dlaczego nie wydajecie Flauberta, dlaczego nie objaśnacie Dostojewskiego? A gdy nie dostaje odpowiedzi, siadam do lektury obszernego studium Jana Kotta o „Guliwerze”. Dostałem je właśnie z Wrocławia, od autora. Myślę, że warto więc zrobić reklamę takiej pracy, zanim jeszcze ukaże się na łamach prasy literackiej. Warto reklamować krytyka, który sam reklamuje „Guliwera”, książkę z gatunku tych, — co jak mówi La Rochefoucauld, „dostarczają nam materiałów do wznoszenia wspaniałego gmachu wiedzy”.

## IGNACY WITZ

## Bezdomna plastyka

W obecnej chwili w Warszawie liczba artystów plastyków sięga około 600 osób, jest to bezwzględnie najliczniejsze środowisko twórcze w Polsce. Środowisko to, nader aktywne, odgrywa poważną rolę w budowie nowej kultury polskiej. Wszystkie poważniejsze ogólnopolskie przedsięwzięcia w dziedzinie plastyki realizowane są przy wydatnym udziale artystów warszawskich.

Jeżeli weźmiemy np. pod uwagę występek włożony przez artystów w Wystawę Ziemi Odzyskanych, zobaczymy, jak wielki wkład wnieśli plastycy stołeczni zarówno pod względem ilości jak i wartości prac artystycznych. Rezultaty najważniejszych konkursów na dzieła sztuki, zarówno ogłaszanych w Polsce, jak i zagranicznych, w których braliśmy udział wykazują wielki procent nagród przypadających na Warszawę. Ażby twierdzenia te nie były gołosłowne, przytoczymy: konkurs na godło państwowe, konkurs olimpijski, konkurs na pomnik Adama Mickiewicza w Poznaniu, konkurs na plakat ONZ oraz szereg wystaw i konkursów zagranicznych, na których artyści warszawscy otrzymali nagrody i wyróżnienia. Pozwoli to nam jaśniej uprzytomnić sobie rolę twórczą środowiska warszawskiego. Ponadto Warszawa zajmuje poważną pozycję w szkolnictwie artystycznym, posiadając Akademię Sztuk Pięknych, Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych oraz Liceum Sztuk Plastycznych. Jeżeli weźmiemy również pod uwagę fakt, że Warszawa jest najpoważniejszym dziś w Polsce ośrodkiem wydawczym w kraju i że jest siedzibą najwyższych władz Związku Polskich Artystów Plastyków, to dojdziemy do przekonania, że w sprawach plastyki okręg stołeczny odgrywa bezspornie olbrzymią i poniekąd decydującą rolę.

Niestety, trudności, na jakie natrafia działalność artystów mieszkających i pracujących w Warszawie, zagrażają wprost rozwojowi sztuki. Pomijając szereg bardzo istotnych bolączek, jak np. brak w odbudowującej się dopiero Warszawie mieszkań i pracowni, pragniemy zwrócić uwagę na jedną bolączkę zasadniczą, życia praktycznego w stolicy, utrudniającą od czterech lat całą działalność artystów warszawskich, Bolączką tą jest brak lokalu wystawowego.

Przed wojną Warszawa posiadała wystarczającą ilość lokali wystawowych. Podczas wojny najważniejsze gmachy warszawskie, służące celom wystawowym, nie zostały zburzone: gmach „Zachęty”, budynek dawnego Instytutu Propagandy Sztuki, oraz gmach Muzeum Narodowego.

W chwili obecnej dwa z tych lokali nie spełniają swojej funkcji, trzeci, Muzeum Narodowe, nie jest i nie może być instytucją wystawową, gdyż byłoby to sprzeczne z celami i zadaniami, do których Muzeum jest powołane. Następny budynek, ściśle wystawowy, wybudowany specjalnie na ten cel, dawny IPS został przebudowany na teatr „Placówka”.

Natomiast trzeci z tych gmachów, „Zachęta”, który powstał z ofiarności społeczeństwa w celu służenia żywej sztuce polskiej, został zajęty na biura, pracownie i agendy Naczelnej Dyrekcji Muzeów Polskich, przestając w ten sposób spełniać swoją zasadniczą rolę. W wyniku tych faktów plastycy warszawscy znaleźli się w sytuacji uniemożliwiającej im jakkolwiek akcję wystawową, będącą dla nich zagadnieniem zasadniczej wagi.

Skutki takiego stanu rzeczy są już widoczne. Doroczna Wystawa Okręgu Warszawskiego nie będzie się mogła odbyć z braku lokalu. Podobnie też Ogólnopolski Salon Związku Plastyków, który z tych powodów nie był zorganizowany w roku 1948, prawdopodobnie nie będzie zrealizowany w roku bieżącym. Stawia to nie tylko plastyków warszawskich, ale plastyków całej Polski, nie mogących wystawić w stolicy państwa, wobec sytuacji, która oznacza zerwanie z odbiorcą sztuki i izolowanie artysty od społeczeństwa i na odwrót.

Walka, od paru lat prowadzona w tej sprawie przez plastyków, nie daje żadnych wyników. Poza gołosłownymi zapewnieniami nikt nie potrafił dotąd zmienić tego stanu rzeczy i nie pomógł plastykom w realizacji ich uzasadnionych i decydujących dla spraw twórczości postulatów.

Plastycy znajdują się dziś w roli aktorów i reżyserów bez teatru, muzyków bez sal koncertowych, pisarzy bez papieru i kolportażu. Następstwa, jakie może spowodować taki stan rzeczy sygnalizujemy tym, którzy decydują o sprawach sztuki.

Zwrot gmachu „Zachęty” oraz wybudowanie nowego lokalu wystawowego, mającego spełniać ogólnokrajową rolę społecznego ośrodka plastyki — te postulaty plastyków winny być co rychlej zrealizowane.

Ignacy Witz

## OD REDAKCJI

W poprzednim numerze „Kuźnicy” przez niedopatrzenie zostało przy fragmentacji książki Szolochowa „Ci, co walczą za Ojczyznę...” pominięte nazwisko tłumaczki, Barbary Rafalowskiej, co niniejszym uzupełniamy.

Redakcja

## KRONIKA FILMOWA

(dokończenie ze str. 10)

Wprowadzono u nas program aktualności. Inicjatywa ze wszech miar słuszną i pożyteczną. Stale pełna widowiska w takich na przykład kino-teatrach łódzkich — świadczą o szlachetności eksperymentu. Program składa się z czterech piętnastominutowych filmów i rozpoczyna się kroniką „Filmu Polskiego”. Wobec tego, że kronika ta wyświetlana jest we wszystkich normalnych salach kinowych nie ma najmniejszej potrzeby wyświetlania jej i w tych salach, do których uczęszcza publiczność bądź co bądź specjalna, i które powinny być poświęcone także specjalnemu programowi.

Jeżeli program ma odpowiadać założeniu wynikającemu z nazwy, to powinien składać się rzeczywiście z aktualności, lecz nie tych, które można zobaczyć wszędzie. Jeżeli te kina rzeczywiście są specjalne, to Film Polski powinien dla nich montować raczej specjalną kronikę, poświęconą co tydzień jednemu tylko zdarzeniu krajowemu lub międzynarodowemu.

## PRZEŁOM NA KRYMIE

Wśród radzieckich filmów wojennych „Wielki Przełom” stanowi znakomity, nigdy nie dościgniony wzór. Po raz pierwszy zerwano w tym filmie z dwoma niebezpiecznymi sztampami: z akcją miłosną wplecioną niezręcznie w konflikty wojenne i z położeniem głównego nacisku na sceny batalistyczne.

A. Pierwienkow przystępując do pisania scenariusza na temat wyzwolenia Krymu z rąk niemieckich (wiosna 1944) miał niewątpliwie przed oczami wzór doskonały. Autor poszedł za przykładem tamtego filmu, ale nie po linii ślepego naśladowstwa.

W scenariuszu „Trzeciego szturm” partie poświęcone pracy sztabów oraz poszczególnym bitwom zostały co do czasu i ważności mniej więcej zrównoważone. Patrząc z tego punktu widzenia, film dzieli się na trzy zasadnicze trziny: pierwsze uderzenie oparte przez Niemców, narady Sztabu Generalnego Armii Czerwonej pod przewodnictwem Sta-

lina nad nową strategią w dziele zdobycia Krymu, końcowy szturm, który wyrwał pozornie niezdobytą twierdzę z rąk faszystowskich.

Film ma ustalony rytm, w którym jak kontrpunkty występują nieliczne i na ogół krótkie sceny rozgrywane się w sztabie niemieckim, względnie na zapleczu wśród Rumunów lub Turków.

Olbrzymie zmagania o twierdzę krymską szczególnie przykuwają uwagę widza. Dzieje się to dlatego, że nawet starszy wiad kinowy jest w „Trzecim szturmie” świadkiem najsumienniejszym zrekonstruowanych i najlepiej sfotografowanych scen ataku jakie kiedykolwiek widział. Ale nigdy jeszcze podmalowanie ideologiczne nie było tak doskonałe jak w wydawanych rozkazami i ich wykonaniem. W oszczędnych, charakterystycznych dialogach poznajemy kilku przypadkowo wybranych żołnierzy. Wszyscy oni rozumieją znaczenie twierdzy krymskiej w zmaganiach z wojskami hitlerowskimi. Atak w tym filmie nie wywiera wrażenia bezmyślnej hekatombi wojennej, lecz jest wynikiem dokładnego uzgodnienia problemów wojennych z nakazaną oszczędnością życia ludzkiego.

Dzięki znakomitej podbudowie scenariusza (nagrodzonego na festiwalu w Marijskich Łaźniach), dzięki reżyserii Igora Sawcenki i fotografii M. Kiryowa czujemy się tak jak dowódcy i żołnierze na ekranie, jesteśmy przygotowani na czekający ich wysiłek i podzielamy końcowy entuzjazm.

Scena zatknięcia sztandaru na górze Sapun, mimo jej wyraźnego znaczenia symbolicznego, jest dzięki zachowaniu całkowitego realizmu porównawczo prawdziwą i szczerą. Jest to silny akcent końcowy, mimo, że w czasie niesienia sztandaru ginie kolejno kilku żołnierzy.

Wszystkie nici prowadzące do Stalina zostały dokładnie w tym filmie pokazane. Zobaczyliśmy wielką bitwę od podszewki, jesteśmy świadkami rozwiązań strategicznych, które decydują o zwycięstwie wbrew rekomendacji jego nieprawdopodobieństwa.

Teza Stalina brzmi:

„W obecnej chwili dowódca niemiecki na Krymie chce się bronić. Doprowadzimy do tego, aby dojrzała w nim inna decyzja, decyzja ewakuacji”.

Film wykazuje w jaki sposób, dzięki szczegółowemu rozkazom i świadomości ich wykonaniu dowódca niemiecki zostaje zmuszony do podjęcia decyzji, którą mu Stalin przed szturmem wyznaczył. Od tej chwili zaczyna się katastrofa niemieckiej obrony.

Szturm na Krym wykonuje generał Tolbuchin, późniejszy marszałek, zdobywca Budapesztu i Wiednia. W jednej ze scen przysłuchujemy się jego odprawie przed bitwą. Powoli ujawnia się myśl generała. Jeden z jego podwładnych — film tego bynajmniej nie tai — dostaje ostrą nagana za nie dość dokładne przygotowanie szturm. Scena ta wiąże się z bitwą, w której szczegółowo i nadzwyczaj interesująco wykazano wyższość nowej koncepcji.

Jest to jeden z charakterystycznych momentów rzucających światło na system montażu zastosowany w całym filmie z żelazną konsekwencją. Ostatnie słowo, lub ostatni efekt każdej sceny przygotowuje myślowo scenę następną, dzięki czemu rysunek filmu jest przejrzysty i nie ma chwili niejasności mimo częstego przeczuciu akcji w rozmaite miejsca wielkiego frontu. Nie wykorzystano jedynie często ukazywanych map, zrozumiałych dla dowódców, ale nie wyjaśniających sytuacji widzom. (Brak narzutu sytuacyjnego).

Nieco słabiej przedstawiają się epizody filmu po stronie niemieckiej, szczególniej póki przeciwnikom wiedzie się jako tako. Sceny paniki są natomiast doskonałe. Zastrzeżenia budzi orealność, niezgodna z ramami filmu postać Hitlera.

Znakomici aktorzy radzieccy z A. Dikijem (rola Stalina) na czele przyczyniają się swym całkowicie opanowanym, prostym systemem gry do wzmocnienia wrażenia wielkiego wojennego reportażu, jakim mimo cech przetworzenia artystycznego jest „Trzeci szturm”.

Leon Bukowiecki



**Jeszcze jeden bezrobotny**

Grono bezrobotnych oszczerców antykomunistycznych powiększyło się o jednego człowieka. Po skandalu, który wybuchł wokół osoby Thomasa, przewodniczącego Komitetu dla badania działalności, niemerykańskiej (osobnik ten okazał się zwykłym defraudantem i złodziejem), przysłała kolej na mr George'a Gibsona, byłego sekretarza angielskich związków zawodowych, a ostatnio przewodniczącego państwowej rady energetycznej (roczna pensja 4000 funtów angielskich). Gibson musiał ustąpić ze swego stanowiska w związku z korupcyjną aferą Stanleya.



Gibson wespół z innymi dygnitarzami brytyjskiej Partii Pracy układał przy dobrym wniku i ostrzegach — wszystko to fundował aferyzista Stanley — rozległe plany, które miały na celu ocalenie „Zachodu przed komunistycznym niebezpieczeństwem”. Przy okazji Gibson nie pogardził mniejszymi napływami za rozmaite „grzeźności” okazywane różnym businessmenom. W końcu machinacje te wyszły na jaw i „wieczór 26 stycznia zastał mr Gibsona bezrobotnym”, jak melancholijnie stwierdził jeden z dzienników londyńskich.

„W 63 roku życia — skarżył się Gibson — jest nieco za późno rozpoczynać życie na nowo”. Minister, któremu bezrobotny oszczerca wręczył podanie o dymisję, okazał mu wiele współczucia i zaaprobował jego prośbę o zwolnienie słowami: „George, sądzę, że postępujesz słusznie”.

Tak tak — George. Nie poprzestałeś na tajnych politycznych i zachciało ci się tajdaczyc także w interesach. I wpadłeś. Zresztą, zbieżność obu tych form tajdactwa, wychodząca coraz częściej ostatnio na jaw, nie jest chyba przypadkową.

**14 milionów serwet**

Czasopismo amerykańskich Murzynów „Ebony” opublikowało ostatnio osiem zdjęć różnych ludzi, zwracając się do antropologów całego świata z prośbą o ustalenie, kto z reprodukowanych na fotografiach należy do białej rasy w których żyłach natomiast płynie krew murzyńska. Chodzi tu o zagadnienie „białych Murzynów”, ciężące tragicznie nad szczęściem milionami obywateli amerykańskich. W Stanach Zjednoczonych żyje obecnie 14 milionów Murzynów, w których żyłach płynie „biała krew”. Nie jest to dziwne, jeśli zważymy, że stapianie się ras trwa w amerykańskim tygryś białych i na porządku dziennym spotyka się „białych”, którzy prababką, dziad, ciotka itp. byli Murzynami. Żaden Murzyn — twierdzi „Ebony” — nie jest pewien, czy nie ma domieszkę „białej” krwi i żaden „biały” nie może przysiąc, że ma śnieżno-białą parantele.

Na dowcipny pomysł wpadł „kawowy” mieszaniec pastor Jesse W. Routte, który przedwznowił wszystkie zakątki południowych stanów, wszędzie przyjmowany niezwykle serdecznie i spotykając się na każdym kroku z zapewnieniami, że w USA nie ma żadnych rasistów. W stanie Alabama został nawet przyjęty przez ojców miasta z wielkimi honorami i obwołany przez nich autem po mieście. Sprytny mulat po prostu owiązał sobie głowę serwetą, przedstawiając się jako indyjski maharadża.

14 milionów serwet i problem murzyński zostanie rozwiązany w Stanach Zjednoczonych! Zart, który kryje w sobie przeraźliwą tragedię. Jeśli by „maharadża” został w Alabamie zdemaskowany, bądźcie o czytelnicy pewni, że nie wygłaszałby dziś kazań w Harlemie.

**Troski chorego Marshalla**

W miarę wzrostu faszystowskich tendencji we Francji, wzrasta się akcja w obronie „pierwszego zdrajcy Francji” — Petaina. Oto, co pisze na ten temat paryska „Action”:

Akcja zmierzająca do zwolnienia Petaina zatacza coraz szersze kręgi. Przybiera ona charakter szantażu, stosowanego wobec premiera Queuille'a, który przyrzekł mniej lub więcej wyraźnie o-

brońcom eks-marszałka, że ich pupil wnet uzyska zadośćuczynienie. Przypominamy sobie, że podobny wniosek Queuille'a spotkał się w Radzie Ministrów z podzielnymi zdaniami, przede wszystkim prezydent Vincent Auriol otoczył się milczeniem.

Zdaje się, że bardzo wyraźny nacisk jest wywierany ze strony amerykańskiej. Komitet Pershinga wydelegował specjalnego wysłannika, pewnego Dominikanina, do prezydenta Auriola dla poparcia sprawy Petaina. Generał Marshall natomiast, znalazł — pomimo swej choroby — czas na sprawdzenie, czy więziony na wyspie d'Yeu Petain ma do dyspozycji odpowie-



dni komfort. Marshall był bardzo niezaadowolony, gdy dowiedział się, że pokój w którym zamieszkuje Petain nie ma bieżącej, ciepłej i zimnej wody.

**Lysenko i nerwowy Anglijski**

Gdy chodzi o postępy nauki radzieckiej, nawet zrównoważeni Anglicy tracą cierpliwość. „New Statesman” drukuje wypowiedź J. H. Wolstencrofta, profesora w St. Johns College w Cambridge, opisującego audycję zorganizowaną przez brytyjskie radio na temat radzieckiej dyskusji o genetyce. W audycji wzięli udział dwaj znani uczeni, członkowie Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Wolstencroft pisze dosłownie.

Nie jest codziennym zjawiskiem, że członkowie Towarzystwa Królewskiego, którzy biorą udział w audycji radiowej, zachowują się jak aktorzy w starej kiczowatej tragifarsie. Obaj, jeden ze zgrzyliwym sarkazmem, drugi głosem drżącym ze zdenerwowania — zdemontowali wyjątkowo swe polityczne uprzedzenia, zapominając że są naukowcami. Nie zadali sobie trudu przedyskutowania założeń naukowych Lysenki, bez ceremonii natomiast przedstawiali go jako szarlatana, odmalowując jako mordercę i kata innych uczonych i nie krepując się bynajmniej braćmiem jakichkolwiek dowodów na poparcie tego twierdzenia.

Wydaje się, że u obu uczonych mamy do czynienia z ostrym przypadkiem antyrosyjskiej hysterii, importowanej wraz z planem Marshalla. Byłoby dobrze, aby rozważyli oni sobie, że historia ta ma na celu przygotowanie uczonych do nowej wojny i uczynienie z nich narzędzia w ręku tych, którzy zmierzają do konfliktu ze Związkiem Radzieckim.

Musimy również zdać sobie sprawę, że radziecka Akademia Nauk odpowiada za praktyczne zastosowanie swych odkryć. Podczas gdy Towarzystwo Królewskie ponosi bardzo małą odpowiedzialność lub żadną. Gdyby nasz rząd postępował zgodnie z socjalistycznymi zasadami, miałby więcej względów dla nauki i uczonych, aniżeli dzieje się obecnie.

**W ZSRR o twórczości Eluarda**

Niedawno na posiedzeniach aktywno ograniczonej komisji Związku Pisarzy Radzieckich wygłosił H. Bałaszow odczyt o twórczości Paula Eluarda. Bałaszow — jak pisze „Literaturnaja Gazeta” — naszkicował obraz złożonej drogi poety, przewyciężającego w swojej twórczości formalistyczne tendencje. W swoich ostatnich utworach Paul Eluard już w sposób realistyczny wyraża walkę narodu francuskiego o prawa demokratyczne i niepodległość Francji.

**Autor, który nie czytał własnej książki**

W roku 1944 urzędnik radzieckiej misji handlowej w USA, Krawczenko, zdradził swój kraj, porzucił służbę i wydał książkę pod szumnym tytułem „Wybrałem wolność”. Francuskie czasopismo „Lettres Francais” stwierdziło, że książka nie została napisana przez Krawczenkę, lecz przez pracowników

tajnego wywiadu amerykańskiego. Krawczenko zaskarżył redakcję „Lettres Francaises” do sądu, który rozpatruje, w chwili gdy piszemy te słowa, sprawę. Oskarżony redaktor André Wurmser prosił w czasie rozpra-



wy, aby przewodniczący sądu zezwolił mu na zadanie kilku pytań Krawczenko. Pierwsze pytanie pod adresem powoda brzmiało: „Czy może mi pan powiedzieć jak kończy się wór „Nora” Ibsena?” Na sali zapanowała ogólna konsternacja, przerywana okrzykami wściekłości Krawczenki, który odpowiedział: „Nie widzę żadnego związku między tym pytaniem i procesem”. Wówczas Wurmser oświadczył, że w pamiętnikach Krawczenki występuje kobieta, która charakteryzuje swą „niewolę” słowami: „Jestem w tym samym położeniu co Nora w domu lalek”. Na ponowne zapytanie Wurmsera o treść dramatu Ibsena, skarżący zareagował wybuchem złości.

„Widzicie więc moi panowie — powiedział Wurmser — że Krawczenko nie tylko nie znał treści „Nory”, lecz nie wie nawet co zawiera jego „własna” książka”. Krawczenko dobrze zaplano na firmowanie amerykańskich oszczerstw, zapomniano jednak zapo-

**Nieszczęśliwy mr Louw**

Przewodniczący południowo-afrykańskiej delegacji na Zgromadzenie ONZ w Paryżu musiał wysłuchać kilku cierpkich słów na temat prześladowań kolorowych obywateli w Południowej Afryce. Po powrocie do kraju, Louw oświadczył na zebraniu Partii Narodowej że kwestia rasowa w Afryce Południowej musi być niezwłocznie rozwiązana, bez względu na to, czy będzie to zgodne z „tak zwaną nienaruszalnością konstytucji”.



Słusznie. Teraz mr Louw zasiądł do stołu ze swoimi pogromcami, pałkami, mordercami Murzynów i faszystowskimi ślepacami. Noblesse oblige!

**Łacina, książki i pieluszki Shirley Temple**

Mieszkający w Nowym Jorku muzyk wiedeński Fritz Eisler, brat Hansa Eislera, który niedawno musiał emigrować ze Stanów Zjedn., postanowił wystawić na licytację swą prywatną bibliotekę i uzyskane za sprzedaży pieniądze przeznaczyć na cele dobroczynne, a w szczególności na „fundusz pomocy biednym dzieciom. Bogate zbiory Eislera, zawierające wiele białych kruków i starych wydań klasyków osiągnęły śmiesznie niskie ceny, lub w ogóle nie znalazły nabywców. Nowojorski „Time” pisał nałwicznie: „Mister Eisler jest bardzo uczony, czyta po łacinie i grzebie się w starych dziełach”.



W tym samym niemal czasie odbył się w Hollywood bal, na którym zorganizowano wyprzedaż przedmiotów należących do słynnych gwiazd filmowych. Para pieluszek, do

których siośla Shirley Temple, uzyskała cenę 982 dol., podczas gdy za podwiązki Bing Crosby'ego zapłacono „tylko” 120 dolarów. Komentarze zbyteczne.

**We Francji o Polsce**

Ostatni numer paryskiego tygodnika „Beaux-Arts” z 18 lutego br. jest dowodem niesłabnącego zainteresowania prasy francuskiej zagadnieniami naszego życia kulturalnego i zasięgu sztuki polskiej.

W rubryce pt. „Sztuka w świecie” pismo to zajmuje się bardzo obszernie wszelkimi aktualnymi wydarzeniami właśnie z dziedziny sztuki polskiej. Na wstępie „Beaux-Arts” omawiają działalność komitetu obchodu stulecia śmierci Chopina w Meksyku ze specjalnym podkreśleniem faktu ogłoszenia przez ten komitet konkursu na afisz: „Meksyk w hołdzie wielkiemu polskiemu artyście i patriotce”. Pierwsza nagroda sięga sumy 5.000 pesetów.

Następnie znajdujemy informacje o powstaniu w Londynie, w ramach polsko-angielskiej wymiany kulturalnej, Instytutu Polskiego, mającego reprezentować naukę i sztukę polską i zajmować się organizacją różnych wystaw. Jako jedną z pierwszych przygotowuje się na kwiecień br. wystawę polskiego malarstwa współczesnego oraz wystawę polskiej sztuki ludowej, której eksponaty znajdują się obecnie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu, budząc wielkie zainteresowanie.

Równie żywe zainteresowanie — pisze dalej tygodnik „Beaux-Arts” — wywołuje oświetlona niedawno w Waszyngtonie wystawa eksponatów polskiego przemysłu artystycznego oraz drania, zorganizowana w Saint-Soins, w Stanie Missour, niezwykle pomysłowa wystawa pod nazwą „Polska w obrazach i filmach”, która za pomocą przezroczystych dokumentarych i filmów krótkometrażowych przedstawia widzowi całokształt życia współczesnej Polski.



Dalej, po krótkiej wzmiance o otwarciu muzeum dla dzieci w Bibliotece Miejskiej w Warszawie, znajdujemy informacje o przyznaniu nagrody państwowej Xaweremu Dunikowskiemu i jednej z nagród miasta Krakowa Karolowi Fryczowi.

W tym samym numerze „Beaux-Arts” informują wrzesie o otwarciu w Zakopanem wystawy malarstwa, rytownictwa i rzeźby pod nazwą „Sport w sztuce”, z okazji odbywających się tam międzynarodowych zawodów narciarskich „O puchar Tatry”.

**KSIĄŻKI NADESŁANE**

- Dr Bronisław Biegeleisen-Zelazowski: Co to jest psychologia pracy. Nakł. Wydawn. „Wiedza Zakład-Kultura”. Tadeusz Zapłór 1-S-ka. Kraków 1949, str. 80.
- N. Gross: Pięść o Izraelu Wybór poezji. Nakł. wydawn. K. N. rach. chalupecowego Ichud Ha-nor Haionl-Akiba, Łódź 1948, str. 64.
- Galla Anonima. Kronika. Podobizna fotograficzna rękopisu Zamojskich z XIV w. Wydał i wstępem opatrzył Julian Krzyżanowski. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Warszawa, 1948, str. 771.
- Wiktor Gemałki: Miecz i kocioł. Powieść mieszczańska z pierwszych lat wieku XVII. Nakł. wydawn. „Ex Libris”. Warszawa 1948, tom I — str. 244, tom II — str. 217.
- Karol Capek: Księga apokryfów. Przekł H. Gruszczynskiej-Dubowej. Nakł. Wydawnictwa Zachodniego, Poznań 1948, str. 152.
- Roman Ingarden: Spór o istnienie świata. Tom II. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948, str. 191.
- Kazimierz Nitsch: Studia z historii polskiego słownictwa. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948, str. 89.
- Jan Rozwadowski: Studia nad nazwaniami wód słowiańskich, z mapą. Dzieło posmiertne. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948. Protokół konferencji towarzystw i instytucji uprawiających badania historyczne, zorganizowanej przez komisję historyczną PAU w dniach 26 i 27 października 1947 r. w Krakowie. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948, str. 229.
- Chronologia sejmów polskich 1495-1793. Zestawili i wstępem poprzedził Władysław Konopczyński. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948, str. 169.
- Dokumenty kłasztoru PP. Norbertanek w Imbramowicach (1228 — 1450). Wydała Zofia Kozłowska-Budkowa. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948, str. 128.
- Stanisław Helżyński: Ave Roosevelt (Panorama amerykańska). Nakł. Wydawnictwa „Ex Libris”. Warszawa 1948, str. 273 plus mapa.
- H. Boguszevska i J. Kornacki: Jada wozy z cegła. Powieść. Wyd. III. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 194, str. 256.
- Jan Parafianowski: Dysk olimpijski. Wyd. VI. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 259.
- Władysław Orkan: Komornicy. Powieść, yd. VII. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 146.
- Władysław Orkan: Koszka Napieralski. Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 284.
- Maria Konopnicka: Nasza szkapca. Wyd. XIX. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 15.
- Maria Konopnicka: W Gdańsku. Wyd. II. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1946, str. 24.
- Maria Konopnicka: Banasłowa. Wyd. IX. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 16.
- Maria Konopnicka: W wiatrakim forcie. yd. IX. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 19.
- Maria Konopnicka: Niemczaki. Wyd. XII. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 15.
- Maria Konopnicka: W Gdańsku. Wyd. II. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1946, str. 24.
- Maria Konopnicka: Banasłowa. Wyd. IX. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 16.
- Maria Konopnicka: W wiatrakim forcie. yd. IX. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 19.
- Henryk Sienkiewicz: Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. Wyd. XVI. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 32.
- Henryk Sienkiewicz: Za chlebem. Wyd. XVII. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 112.
- Henryk Sienkiewicz: Bariek zwycięzca. Nowele. Wyd. XXI. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 84.

ADAM WAŻYK  
**W STRONĘ HUMANIZMU**  
 ESSAYE  
 » K S I A Ż K A « 1 9 4 9  
 Cena 400 zł.

Redaguje: Zespół „Kuznicy”      Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”  
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 11.  
 Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 204-75  
 CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalte 50 złotych.  
 WARUNKI PRENUMERATY:  
 Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.  
 Należność za prenumeratę należy wpłacać do PKO konto VII-587 „Prerumerata Kuznicy”  
 Drukarnia Nr 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 3 D-030167